



Lori Wilde



Rajska wyspa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czy ten zwariowany Amerykanin wciąż jest w garniturze?

Sophie Cruz wylegiwała się w hamaku, obok luksusowego ośrodka wybudowanego w kostarykańskim wulkanicznym paśmie Kordylierów.

Do Bosque de Los Dioses, czyli Lasku Bogów, można się było dostać tylko przez porośniętą krzewami równinę. Monteverde, z której pochodziła Sophie, leżała około czterdziestu kilometrów na północ. Do tego kurortu przyjeżdżali bogaci, sławni i wpływowi goście.

Sophie się do nich nie zaliczała. Urodziła się i wychowała w pobliskich górach, tam był jej dom. Ludzie przyjeżdżali na wypoczynek i odjeżdżali. Widziała już różnych turystów, ale nikogo tak zestresowanego jak ów mężczyzna o płowych włosach, w garniturze od Armaniego.

Dwa tygodnie.

Tyle czasu już tutaj jest. Nigdy nie włożył dżinsów, szortów, sandałów, ba, nawet koszuli z krótkim rękawem. Zawsze w marynarce, pod krawatem, w drogich skórzanych butach, a przecież Bosque de Los Dioses, to nie nowojorska siedziba rady nadzorczej. Dziwne...

Intrygował ją, a nawet fascynował.

Opuściła rondo podniszczonego słomkowego kapelusza udekorowanego orchideą, poprawiła okulary przeciwsłoneczne i zaczęła się przyglądać mężczyźnie.

Ombre guapo. Przystojniak.

Rozmawiając przez komórkę, przemierzał tam i z powrotem werandę bungalowu. Platynowa bransoletka na jego przegubie pobłyskiwała w słońcu. Pasowała do niego, gładka, lśniąca, ale zarazem równie męska, jak jej właściciel. Bogaty, arogancki, władczy, w nieustannym ruchu. Nie ma znaczenia, skąd pochodzisz, ponieważ zmierzasz do tego samego miejsca co wszyscy, czyli na cmentarz. Dlaczego po drodze nie sprawić sobie trochę przyjemności? Po co tak pędzić?

Taki kostarykański przepis na życie, bez pośpiechu, kłótni, z wdzięcznością za to, co dał nam los. Oczywiście łatwo zdobyć się na filozoficzny spokój, kiedy wokół tyle piękna. Chociażby ten facet. Smakowity jak *el casado*.

Nie, to nie najszcześniejsze porównanie, bo nazwa tego dania znaczy również „żonkoś”. Pożywną potrawę z fasoli, ryżu, smażonych bananów i mięsa Kostarykanki dają mężom do pracy. A to cudo w szarym garniturze nie wygląda ani trochę na żonko-sia. Wyobraziła sobie, jak niesie papierową torbę z *el casado*, i zachichotała.

Blondyn o silnie zarysowanym podbródku. Pociągali ją jasnowłosi faceci, może dlatego, że niewielu znała. Wokół niej od zawsze kręcili się bruneci. Taki kraj. A ten boski egzemplarz na werandzie miał na szczęście złamany nos, inaczej byłby zbyt piękny.

Na karcie kredytowej, którą opłacił przelot, widniało nazwisko Gibb Martin. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, był świetnie zbudowany, szczupły. Na samą myśl, że dotyka jego bicepsów, poczuła mrowienie w dłoniach.

Miał szare oczy, przenikliwe spojrzenie. Poznali się na lotnisku, skąd go odebrała, i przylecieli razem do kurortu. Dziękując za udany lot, przytrzymał jej rękę odrobinę za dłużej i spojrzał tak, że przeszył ją dreszcz.

A może tylko tak jej się wydawało. Przecież nie był sam. Towarzyszyła mu wysoka, szczupła blondynka o wiecznie niezadowolonej minie, no i z piersiami jak balony. Sophie była niewysoką, dość pulchną brunetką z włosami do pasa, ale raczej mizernym biustem. Choć i tak było lepiej niż przed laty, kiedy bracia przezywali ją „naleśnik”.

Blondynka nie wyglądała na uszczęśliwioną. Narzekała na wszystko: wilgoć, brak miejsca w samolocie i ciasteczka oferowane podczas lotu, które powinny być bezglutenowe. Jej towarzysz nie reagował, po prostu wlepił wzrok w ekran laptopa i trwał tak do końca podróży. Sophie zrobiło się nawet trochę żal ignorowanej dziewczyny.

Minęły dwa tygodnie i blondynce nie poprawił się humor. Paradowała wsparta pod boki po werandzie w tak skąpych bikini, że równie dobrze można byłoby zrobić z niego sznurówki do butów. Koczkodan.

Ale co Sophie miała powiedzieć o sobie? Przysadzista dziewczyna w poszarpanych dzinsach i białym topie.

- Gibby! - krzyknęła blondynka.

Spojrzał na nią z irytacją i pokazał, że rozmawia przez telefon. Biedulka. Facet nie miał najwyraźniej czasu dla swojej panienki.

- Jeśli nie wyłączysz tej cholernej komórki i nie zabierzesz mnie w jakieś fajne miejsce, przysięgam, dziś wieczorem wracam do Miami.

Gibb przestał rozmawiać, zbliżył się do blondynki, szepnął jej coś na ucho i klepnął w pośladki. Zachichotała.

Sophie poczuła ukłucie zazdrości. Właściwie o kogo? O dziewczynę z nogami do nieba, na którą jej facet nie zwraca uwagi? Przecież nie chciałyby być na jej miejscu. Miłość musi być pełna namiętności.

Blondynka tymczasem wyciągnęła rękę, jak się okazało, po kartę American Express. Gibb otrzymał w zamian pocałunek w szyję.

Płacił jej. Cóż, nie ma czego zazdrościć. Blondynka spędzała czas w spa, a jej facet zamiast wypoczywać, pracował.

W spa była zatrudniona Josephina, siostra Sophie, w kontrakcie zakazano jej plotkowania o klientach, ale dziewczyny oczywiście przekazywały sobie co ciekawsze informacje.

Kilka minut później pojawiła się Josie z torbą *el casado*.

- *Hola!* - przywitała się.

- Co słychać?

Chociaż w ich domu mówiło się dwoma językami, to Josie wolała używać hiszpańskiego, a Sophie, być może dlatego, że po śmierci mamy mieszkała przez czas jakiś u ciotki w Kalifornii, angielskiego.

- Nic nowego. - Wczesnym popołudniem na ogół nic się nie działo, goście nie wrócili jeszcze z wycieczek. Josie przysiadła obok. - A u ciebie?

- Czekam na parę Argentyńczyków, a potem lecę do Libery.

- Jak się sprawuje El Diablo? Ten samolot ma tyle lat co ja. - Czyli czterdzieści jeden. Josie była starsza od Sophie o czternaście lat. Wyszła za mąż za szkolnego kolegę, z którym miała trójkę dzieci.

- Osiąga szczyty możliwości. - Pipera Cherokee 180F rocznik 1971 przejęła po ojcu, który dwa lata wcześniej przeszedł na emeryturę. Tylko ona była zainteresowana la-

taniem, nikt z sześciorga rodzeństwa nie zazdrościł jej prezentu. Zarabiała na życie, wożąc turystów tam, gdzie większe samoloty nie mogły lądować. Skończyła też kurs mechanika pokładowego i sama reperowała swojego „diabełka”.

Josie odwinęła domowej roboty wołowe *tamales* z liści kukurydzianych, w których się gotowały, i poczęstowała siostrę.

Sophie, jedząc, zerknęła na blond towarzyszkę Gibba Martina. Blondynka pomachała na powitanie, na co Josie odpowiedziała uśmiechem.

- Znacie się?

- Jasne, codziennie o drugiej pojawia się w spa i robię jej masaż. Płaci kartą chłopa, zostawia duże napiwki, mogę do niej machać i uśmiechać się cały dzień, jeśli tego chce.

- Wydaje się powierzchowna - stwierdziła Sophie.

- To fotomodelka, czego się spodziewałaś?

- Może nieco oryginalności?

- Czyżby twoje kąśliwe uwagi miały coś wspólnego z jej przystojnym, przedsiębiorczym facetem, na którego bezustannie się gapisz?

- Wcale się nie gapię.

- Jasne.

- No, może troszeczkę. A ile blondynów widzisz w okolicy? Nie chodzi o niego, a o kolor włosów.

- Tak, tak.

- A żebyś wiedziała.

Josie skinęła ze zrozumieniem i spojrzała na grubego łysielca zażywającego konnej przejażdżki.

- Gdyby tamten spaślak był blondynem, też byś się na niego gapiała?

- Oczywiście - skłamała.

- A tak przy okazji, twój uroczy biznesmen też się na ciebie gapi, kiedy tego nie widzisz.

- Naprawdę?

- Owszem, i to jak.

Sophie poczuła, że się rumieni. O co chodzi? Przecież nie jest w jego typie.

- A jak ci się układa z Emiliem?

- Co? - zapytała rozkojarzona. - Aaa... Emilio, uroczy chłopak.

- Jest teraz w San Jose, a Pan Wysoki Przystojny Blondyn tutaj - podsumowała Josie.

Sophie zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest niestała w uczuciach. Musiała podzielić się wątpliwościami z siostrą. Zawsze to robiła.

- To, co się dzieje między mną a Emiliem, zmierza bardziej w kierunku przyjaźni niż miłości. Nawet jeszcze nie poszliśmy do łóżka.

- A ile czasu się spotykacie? Dwa miesiące?

- Widzieliśmy się pięć razy w ciągu dwóch miesięcy. I gdyby nam na sobie zależało, powinniśmy za sobą tęsknić. Mam rację?

- Za dużo oczekujesz. Emilio to miły mężczyzna, będzie dobrym mężem i ojcem.

- Czy to wystarczy?

Josie podniosła się, otrzepała okruszki jedzenia.

- A czego jeszcze trzeba?

- Namietności na przykład.

- Namietność szybko gaśnie, a potem liczy się przyjaźń.

- Kiedy tak to przedstawiasz, małżeństwo wydaje się nudne. - Sophie ziewnęła.

- Wcale nie, wraz z upływającym czasem zaczynasz doceniać inne rzeczy.

- Może tobie to wystarczy, mnie nie. Musi iskrzyć przez cały czas. Ognie piekielne albo nic.

- Przypominasz mamę bardziej, niż sądzisz. Idealizm w czystej postaci.

- Mam spore wymagania. Co w tym złego?

- Ciekawe, czy to wysokie wymagania, czy raczej bujasz w obłokach.

- Gdyby mama nie wierzyła w namietną miłość, nie zostałaby w Kostaryce i nie miała siedmiorga dzieci.

- No dobrze, ale zastanów się, z ilu rzeczy musiała zrezygnować.

- Dla miłości.

- Nie było jej lekko. Zaczynała wszystko od nowa w obcym kraju. Inny język, kultura.

- Pokonała przeszkody, bo kochała ojca. Chciałabym, żeby ktoś zrobił coś podobnego dla mnie.

- Pamiętaj że lata lecą, zanim się obejrzyysz, minie najlepszy czas, żeby urodzić dziecko.

- Dzięki za wsparcie, ale nie myślę jeszcze o dziecku. - Sophie założyła nogę na nogę i poprawiła rondo kapelusza.

- A powinnaś.

- Jeszcze się nie nacieszyłam życiem.

- Dzieci dostarczają sporo radości.

- Muszę uwierzyć ci na słowo.

- Przecież uwielbiasz swoich siostrzeńców.

- Daj już spokój, nie wciskaj mi macierzyństwa na siłę. Znajdę właściwego mężczyznę, przyjdzie czas i na dzieci. - Wzrok Sophie powędrował w stronę blondyna na werandzie.

- Ten Amerykanin nie jest dla ciebie.

- Wiem o tym, on jada kawior, ja fasolę. Hm, miło jest pomarzyć.

- Daj szansę Emiliowi. Zaproś go w niedzielę na kolację.

- Zobaczymy. - Sophie miała dwanaście lat, kiedy ich mama zmarła na zapalenie opon mózgowych. Po powrocie z Kalifornii, to Josie jej matkowała, co czasem irytowało Sophie. - Lepiej wracaj do spa i zajmij się masowaniem blond piękności.

- Kocham cię - odpowiedziała słodko na pożegnanie Josie.

Sophie zajęła się ponownie obserwacją Gibba Martina. Na szczęście blondynka już sobie poszła. Jej partner znowu rozmawiał przez telefon. Czy on kiedykolwiek odpoczywa?

Pora wracać do rzeczywistości. Musiała sprawdzić listę załadunkową. Spojrzała w niebo. Sądząc po pozycji słońca, było około wpół do drugiej. Nigdy nie nosiła zegarka, nie potrzebowała go. Z westchnieniem podniosła się z hamaka.

Gibb Martin wychylił się ponad poręczą werandy. Patrzył na nią! Te szare oczy...

Zdobyła się na uśmiech. Nie była blondynką z okładek, ale to jej się przyglądał.

Udała, że tego nie zauważa. Poprawiła włosy, przygryzła dolną wargę. Odeszła w stronę samolotu, kołysząc biodrami.

Czuła na plecach wzrok Gibba, ale kiedy odwróciła się, już go nie było. Urządziła ten spektakl na darmo? Kretynka.

Właściwie co za różnica? A tak przy okazji, warto się zastanowić, co naprawdę czuję do Emilia. Skoro tak bardzo interesował ją inny, Emilio może być najwyżej przyjacielem. Będzie musiała mu o tym powiedzieć.

Czy głupio robi, odrzucając miłego chłopaka? Być może, ale instynkt jej podpowiadał, że sama dobroć nie wystarczy do stworzenia udanego związku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przypatrywał się przez półprzymknięte bambusowe okiennice apetycznemu tyłecz-kowi seksownej pilotki. Fajnie się poruszała. Powinien raczej skupić się na Stacy, jednak gdy tylko zobaczył te zmysłową Kostarykankę, nieustannie zaprzętała mu myśli.

Spotykał się ze Stacy dwa lata i można powiedzieć, że było to o wiele za długo. Hm, układ korzystny dla obu stron. On potrzebował efektownej dziewczyny, z którą dobrze wyglądałby na zdjęciach i na przyjęciach. Ona zaś zainteresowana była przede wszystkim jego kartą kredytową. Kiedyś ten układ funkcjonował nie najgorzej, ale ostatnio zaczęli działać sobie na nerwy. Stacy uważała, że poświęca jej zbyt mało czasu. Przyjazd z nią tutaj był błędem.

Kostarykanka kręciła się przy samolocie, coś sprawdzała. Kiedy pochyliła się, biały top podwinął się, ukazując kawałek piersi. Gibb odruchowo oblizał wargi i patrzył dalej. Szorty z obciętych džinsów eksponowały kształtne uda. Różowy słomkowy kape-lusz i różowe okulary w kształcie serduszek wskazywały na upodobanie właścicielki do różu. Kiedy lecieli samolotem, pachniała perfumami, w których dominującą nutą był słodki zapach różowego grejpfruta.

Poczuł, że robi mu się gorąco i nie miało to nic wspólnego z upałem. To trochę nie w jego stylu. Kiedy był z kimś w związku, nie interesował się innymi dziewczynami.

Najlepszy przyjaciel Gibba, strażnik przybrzeżny porucznik Scott Everly, nazywał go seryjnym monogamistą.

Zadzwonił telefon.

Zerknął, kto to. Oho! O wilku mowa. Scott usiłował go złapać już od jakiegoś czasu. Zajmowali się razem, na razie po cichu, pewną inwestycją, która mogłaby zrewolucjonizować sposób podróżowania. W tym celu Gibb przyjechał w Kordyliery. Wstępny projekt już był gotowy. Czekali spokojnie na zatwierdzenie patentu, byli pewni pozytywnej opinii. W Bosque de Los Dioses miał niedługo pojawić się inwestor. Do tego czasu trzeba było wybudować tor dla prototypowego pojazdu jednoszynowego, który połączy tutejszy kurort z Monteverde.

Dzięki temu turyści zyskaliby nowy środek transportu poza samolotem. Już dwukrotnie w przeszłości zdarzyło się, że przechwycono i wykorzystano projekty Gibba bez jego zgody. Tym razem nie zamierzał na to pozwolić. Dlatego właśnie potrzebował Scotta. Teraz czekali, aż skończy mu się umowa ze strażą przybrzeżną. Im szybciej wszystko załatwią, tym większa szansa, że unikną przecieku.

Gibb odebrał telefon.

- Cześć, stary, gdzie się podziewałeś?

- Zakochałem się - odpowiedział Scott.

- A kiedy kończysz pracę w straży? Jak szybko możesz przylecieć? Potrzebuję cię.

- Nie słuchasz mnie. Naprawdę się zakochałem. To niezwykła kobieta, inteligentna, seksowna...

- Przestań bajdurzyć - prychnął Gibb. - Zaraz dokonamy wielkich rzeczy. Trzeba tylko uważać, żeby nikt nie odkrył naszych planów.

- Ja swoje, a ty swoje.

- Jasne, zakochałeś się do szaleństwa. Świetnie. Gratulacje. To kiedy mogę się ciebie spodziewać?

- Jest córką Jacka Bircharda, oceanografa, sama też się tym zajmuje - ciągnął Scott.

- Mówisz poważnie? - Gibb podrapał się po głowie. - A co ona na to, że zamierzasz spędzić kilka najbliższych lat na Kostaryce?

- Już nie zamierzam.

- Daj spokój, przecież wszystko ustaliliśmy. Nie dam rady bez ciebie.

- Dasz.

- Powiem inaczej. Nie chcę tego robić bez ciebie. Dzięki temu projektowi będziemy miliarderami.

- Gibb, ty już jesteś miliarderem.

- Jeszcze nie, ale chciałbym.

- Okej, jesteś tylko multimilionerem, nie wiem, biedaku, jak sobie poradzisz.

- Scott, nie wierzę, że mi to robisz. Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i rozbijaliśmy namiot w ogrodzie? Już wtedy planowaliśmy, że będziemy razem pracować, ale ty musiałeś wstąpić do straży przybrzeżnej.

- Miałeś pracować tam ze mną.

- Czy to moja wina, że mam chorobę morską?

Tak naprawdę to się świetnie złożyło. Gdyby zatrudnił się w straży, nigdy nie wymyśliłby gry komputerowej, dzięki której stał się bogaty. Nie mógłby również dołączyć do grupy milionerów skłonnych inwestować w wynalazki. Miał talent do wyławiania dobrze rokujących projektów, które potem przynosiły ogromne dochody. „Charyzmatyczny wizjoner”, tak pisano o nim w „Wealth Maker Magazine”, co zresztą przyciągnęło spryciarzy bez skrupułów, którzy próbowali podkraść mu pomysły. Ufał tylko Scottowi, i to bezgranicznie.

- Nie, ale i nie moja, że się zakochałem. Przepraszam, Gibb, znalazłem kogoś, na kim mi zależy, nie chcę skończyć jak ty.

- Co to ma znaczyć?

- Nie chcę, żeby praca stała się sensem mojego życia.

- Gdyby nie praca, nie byłoby mnie tutaj.

- A gdzie jesteś, Gibb?

- Na szczycie tego cholernego świata.

- Zupełnie sam.

- Mylisz się. Jest ze mną piękna fotomodelka, mam bentleya, domek przy plaży...

- Żenię się w sobotę, czwartego lipca w Key West, na pokładzie Sea Anemone, o czwartej po południu. Mam nadzieję, że będziesz.

Dopiero teraz Gibb zdał sobie sprawę, jak bardzo chciał pracować ze Scottem. Nie chodziło tylko o zaufanie czy wspólne spędzanie czasu. Był mu też wdzięczny za uratowanie życia. Nurkowali wtedy na Wielkiej Rafie Koralowej. Płaszczka ukłuła Gibba w pierś, zostawiając jadowity kolec. Gdyby nie szybka reakcja przyjaciela, zginąłby w taki sam sposób jak słynny łowca krokodyli Steve Irwin. Na pamiątkę tego zdarzenia kupili dwie jednakowe platynowe bransolety, symbole dozgonnej przyjaźni.

- W tę sobotę?

- Tak.

- Przecież dzisiaj jest już środa.

- Wiem.

- Dlaczego nie zawiadomiłeś mnie wcześniej?

- Dopiero teraz zaręczyliśmy się.

- Tak szybko? Czyżby była w ciąży?

- Nie. Po prostu poczuliśmy, że to jest właściwy moment. - W głosie Scotta porzmiewała irytacja.

- Kiedy rozmawialiśmy sześć tygodni temu, nawet o niej nie wspomniałeś. Jak długo się znacie?

- Miesiąc.

- Co? I już jej się oświadczyłeś?

- Hej, przestań krytykować. Ona jest miłością mojego życia.

- O ile sobie przypominam, to zarzekałeś się, że nigdy się nie ożenisz.

- Mówiłem różne głupoty. Po prostu nie byłem nigdy wcześniej zakochany.

- A kelnerka z Panamy?

- To było tylko pożądanie. Poczujesz różnicę, kiedy sam się zakochasz.

- Poczekaj trochę, a zobaczysz, że ci przejdzie.

- Ani myślę - rzekł Scott stanowczo. - Czy przyjedziesz na wesele?

- To wariactwo! Rujnujesz nasze plany. Nie wierzę...

Scott rozłączył się. Gibb, zszokowany, wpatrywał się w telefon.

Sophie tankowała samolot, kiedy pojawił się Gibb Martin ze srogą miną.

- Chciałbym polecieć do Key West na Florydzie - rzucił despotycznym tonem.

- Co cię ugryzło? - zapytała zdziwiona.

- Muszę lecieć zaraz.

- Komar czy szerszeń?

Gdyby Gibb był postacią z kreskówki, w dymku nad jego głową pojawiłby się napis: „Nie żartuję. Liczy się każda minuta”.

- Przykro mi, *amigo* - wzruszyła ramionami.

- Dobrze zapłacę.

- To nie tylko kwestia pieniędzy. Mam zamówiony lot na drugą.

- Nie możesz wezwać innego pilota?

- A co się stało? Jakiś pożar? Ktoś zmarł?

- Gorzej.

- Co może być gorszego od śmierci?

- Wesele.

- I o to tyle hałasu? - Sophie poczuła się zbita z tropu. - Jesteś przeciwnikiem słów?

- Nie, chociaż nie mam w tym względzie doświadczenia.

- Dlaczego zatem to taka pilna sprawa?

- Muszę zapobiec pewnemu małżeństwu.

- Rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Wciąż kochasz byłą dziewczynę i nie chcesz, żeby wyszła za innego.

- O nie! To zupełnie inny przypadek.

- Tak? A jaki?

- Ona jest dla niego nieodpowiednia.

- Kto?

- To śmieszne. Znają się tylko miesiąc. Mój najlepszy przyjaciel zamierza popełnić poważny błąd.

- Tak, to rzeczywiście koniec świata.

- A ty poślubiłabyś mężczyznę, znając go tak krótko?

- Pewnie zależałoby od mężczyzny.

- Romantyczka.
- Jeszcze nie znalazłam tego jedyne, ale wierzę, że gdzieś istnieje.
- Boże, oszczędź mi tego! - Gibb wznosił oczy do nieba.
- Co złego jest w miłości?
- Miesza w głowie, zaciemnia umysł, sprawia, że człowiek staje się głuchy na rozsądne argumenty.
- A jeśli ta kobieta uczyniła twojego przyjaciela szczęśliwym?
- Jemu tak tylko się wydaje.
- Skąd wiesz?
- Słuchaj, nie mam czasu na dyskusje. Muszę szybko dostać się na Florydę.
- A nie lepiej, po prostu zadzwonić?
- Scott rozłączył się podczas rozmowy. Zadzwoniłem do niego, ale miał wyłączoną komórkę.

- Nie dziwię mu się, bo najwyraźniej przesadzasz.
- Słuchaj, nie potrzebuję twoich rad, tylko doświadczenia w pilotowaniu samolotu.

Ile byś chciała za taki kurs?

Sophie spojrzała na samolot. Nigdy nie latała dalej niż do Belize.

- Ten samolot nie jest przystosowany do odbywania dalekich lotów. Do Key West jest ponad pięćset kilometrów.

- Dasz radę, obserwuję cię od dwóch tygodni. Jesteś doskonałą pilotką.

Sophie zaczerwieniła się.

- Będziemy potrzebowali więcej paliwa. Mam za mały bak.
- Zatrzymamy się po drodze, żeby zatankować. - Gibb otworzył drzwiczki samolotu i skinął, żeby wsiadła do środka. - Czy dwa tysiące dolarów ukoji twoje nerwy?

Dwa tysiące? Przestałaby się martwić, z czego zapłaci za kurs mechanika pokładowego.

- Pokryjesz też koszty paliwa?

- Oczywiście.

- Musisz być naprawdę zdesperowany.

- I nie brak mi pieniędzy. Zawsze osiągam to, na czym mi zależy.

- Nie tym razem. - Sophie skrzyżowała ręce. - Nadciąga niż.

- Kiedy tu dotrze?

- Podobno za dwa dni, ale z pogodą nigdy nic nie wiadomo.

- Do tego czasu dawno będziemy w Key West.

- Nie lubię ryzykować życia pasażerów.

- Możesz sprawdzać pogodę po drodze. Jeżeli sztorm uniemożliwi nam dalszy lot, to będzie znak, że Scott i Jackie powinni być razem. W samolocie ty dowodzisz.

Czy może zaufać człowiekowi, który lubi rozkazywać? Czy dotrzyma słowa?

- Muszę sporządzić plan lotu i uzyskać odpowiednie pozwolenie, bo naruszymy przestrzeń powietrzną innych krajów.

- Trzy tysiące.

Sophie zwilżyła wargi. Czyste szaleństwo. Musiała jednak w duchu przyznać, że lubiła ryzyko. Była też ciekawa, na co stać jej „diabełka”. Od dziecka przedkładała przygodę nad odpowiedzialność. Dziś wieczorem miała odbyć poważną rozmowę z Emiliem u niego w domu.

- Możesz polecieć ze mną i innymi pasażerami do Libery, a stamtąd złapiesz samolot na Florydę.

- Nie odpowiada mi takie rozwiązanie.

- Czemu?

- Nie muszę się tłumaczyć.

- Nie masz własnego samolotu?

- Mam, ale nie tutaj. Czy mogę liczyć na dyskrecję z twojej strony?

- Pełną. - Gdyby była papłą, dawno straciłaby pracę.

Gdy tak rozmawiali, pojawiła się para Argentyńczyków, która miała zarezerwowany lot do Libery. Zaraz za nimi przyszedł boj hotelowy z bagażami.

- Oto moi pasażerowie, więc chyba będziesz musiał zmienić plany.

Gibb tymczasem zwrócił się do dostojnie wyglądającego mężczyzny:

- Jaką kwotę zgodziłby się pan przyjąć w zamian za to, że zrezygnuje pan z tego rejsu i zamówi inny samolot?

- Słucham? - Mężczyzna gwałtownie zamrugnął ze zdumienia.

- Ile dolarów mam zapłacić? Pilnie potrzebuję tego samolotu.
- Ten pan nie chce dopuścić do zawarcia małżeństwa - wtrąciła się Sophie.
- Och, jakie to romantyczne - zareagowała Argentynka. - Pewnie chce odzyskać dziewczynę.

Tym razem Gibb nie zaprzeczył. A starszy pan nie przyjął od niego czeku.

- Samolot jest do pańskiej dyspozycji. - Objął żonę i dodał: - Nie staniemy na drodze prawdziwej miłości.

- W takim razie problem rozwiązany. Ruszajmy, Amelio! - rzucił Gibb.

- Mam na imię Sophie, Sophie Cruz.

- Ależ ja tylko przyrównałem cię do pewnej znanej pilotki. Nazywała się Amelia Earhart. Sądziłem, że sprawię ci przyjemność.

- To strasznie seksistowskie. Po prostu zapomniałeś, jak mam na imię.

- Przejrzałaś mnie, przepraszam.

- Mój pies umie ładniej przeproszać. - Troszkę przesadziła. Jej czternastoletnia suczka Trixie zmarła w zeszłym roku.

- Psy ciągle płaszczą się przed właścicielem, dlatego nie mam żadnego.

- Nie lubisz stworzeń, które potrafią bezgranicznie i bezwarunkowo kochać.

- Tak naprawdę to bardzo lubię psy, ale nigdy nie ma mnie w domu. Miałbym wyrzuty sumienia, że bez przerwy podrzucam komuś pupila.

- Nie wierzę ci.

- Jakie to ma znaczenie? Możemy ruszać? - Gibb zaczął wsiadać,

- Nie tak szybko, *Norte!*

- *Norte?*

- Tak tutaj określamy tych, którzy przybyli z północy, zwłaszcza ze Stanów.

- Ton twojego głosu sprawia, że brzmi to obraźliwie.

- Tak ci się tylko wydaje. Jeżeli wstydzisz się, że pochodzisz ze Stanów, to twój problem, nie mój.

- Nie stanowi to dla mnie problemu. Twój cięty język też nie.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Udawała dotkniętą jego słowami.

- Uruchom silnik i startujmy!

- Najpierw muszę zatelefonować.
- Strata czasu.
- Straszny typ z ciebie, *Norte*.
- I kto tu kogo obraża? Wytrzymam, tylko pomóż mi się dostać na Florydę.

Sophie zaczęła rozumieć, przez co przechodziła blond piękność z okładek. Życie z Gibbem Martinem to nieustająca walka i huśtawka nastrojów. Sama ledwie go poznała, a już miała parę razy ochotę go udusić, a zaraz potem pocałować.

Po co więc leci z nim do Key West?

ROZDZIAŁ TRZECI

Gibb krążył nerwowo wokół samolotu, usiłując skontaktować się ze Scottem. Bezskutecznie. Wmawiał sobie, że nie jest szaleńcem wtrącającym się w cudze sprawy, tylko próbuje uratować najlepszego przyjaciela.

Przypomniawszy sobie, jak w przedszkolu wymieniali się jedzeniem. Oddawał Scottowi kanapki z homarem za bułkę z masłem orzechowym lub żelki. Żeby było śmieszniej, Scott tylko na początku cieszył się z zamiany, homar nie był przysmakiem dla pięciolatków, woleli prostsze przysmaki. Niestety mama Gibba zupełnie tego nie rozumiała.

Zawsze taka była. Lubiła luksus i drogie rzeczy, w dodatku uważała, że to powszechne. A przecież gdy Gibb był mały, w domu wcale się nie przelewało. Zdarzało się jej wystawiać czekki bez pokrycia, na szczęście nigdy nie poniosła konsekwencji swoich czynów. Potem poślubiła potentata na rynku nieruchomości, Jamesa Martina, który zaadoptował Gibba, gdy ten miał siedem lat. Od tamtej pory chłopiec starał się udowodnić, że zasłużył na szczodrość ojczyma.

- Gotowe!
- To na ile się w końcu umawiamy?
- Za trzy tysiące dolarów plus zwrot kosztów paliwa polecę z tobą do Key West.

Uff! Cały czas obawiał się, że Sophie odmówi i będzie musiał wynająć samolot w Liberze i modlić się, żeby konkurencja nie ustaliła, gdzie jest. Żeby dotrzeć do Bosque de Los Dioses, przedsięwziął szczególne środki ostrożności. Kupił bilety dla siebie i Stacy

na lot do Europy. Jednak nie wykorzystali ich. Zamiast tego wynajął niewielki samolot do Nikaragui i pokój w niedrogim motelu, a stamtąd wypożyczonym samochodem dotarł do Libery. Miał nadzieję, że zatarł za sobą ślad. Jednak gdyby ktokolwiek z konkurencji wyśledził, gdzie w tej chwili jest, cała robota i sto milionów dolarów przepadłyby na amen.

- Startujemy, do diaska!

- Czy twoja towarzyszka dołączy do nas?

- Kto? - zapytał, zanim pojął, że chodzi o Stacy. - Nie, zamówiła kilka zabiegów w spa, co ją zajmie do mojego powrotu.

- Masz bagaż?

- Niczego nie potrzebuję.

- Wygodniej byłoby ci w innym ubraniu. - Sophie wskazała palcem na garnitur.

- Ruszajmy.

- Jeszcze jedna rzecz, proszę o zapłatę z góry.

Podał jej kartę kredytową, przy okazji dostrzegając, jak piękne dłonie o długich smukłych palcach ma Sophie. Nietypowe dla osoby niewielkiego wzrostu. Paznokcie miała pomalowane łososiowym lakierem.

- Zaraz wracam! - rzuciła, po czym skierowała się w stronę biura.

Gibb patrzył za nią zdenerwowany. Kolana lekko mu drżały. Sophie wróciła parę minut później z uśmiechem na twarzy i kartą kredytową w ręku.

- Muszę jeszcze sprawdzić parametry lotu.

Gibb zajął miejsce na fotelu pasażera i niecierpliwie bębnił palcami o deskę rozdzielczą. Wreszcie Sophie weszła do kokpitu, usadowiła się, przerzuciła różowy kapelusz na plecy, a włożyła słuchawki. Skontaktowała się z wieżą kontroli lotów w Liberze, która podała jej ścieżkę lądowania.

Parę minut później unosili się półtora kilometra nad ziemią. Samoloty tego typu mogły latać dwukrotnie wyżej, ale Sophie najwyraźniej nie zamierzała wzbijać się tak wysoko. Pokonała pułap chmur i kierowała się nad łańcuch górski.

Widok zapierał dech w piersiach, pomiędzy szarawych chmur przeświecały tropikalna zieleń i skały.

Sophie poprawiła się w fotelu. Kosmyki kręconych włosów opadały jej na twarz, krótka koszulka opinała zgrabne piersi.

Obrócili się w swoją stronę w tym samym momencie i niechcący zderzyli łokciami. Poczuli, że robi mu się gorąco.

- Przepraszam - bąknął.

Powinien był usiąść z tyłu. Właściwie dlaczego tego nie zrobił?

Sophie spoglądała przed siebie. Miała delikatny profil, mały nosek, lekko wypukłe czoło i niewielki, ale mocno zarysowany podbródek. Była to twarz osoby szczęśliwej i otwartej.

Patrząc na nią, sam miał ochotę się uśmiechnąć. Nie słyszał fanfar, ale męczyło go niejasne przeczucie, że jego życie zmieni się radykalnie. Jak? Dlaczego? Tego nie wiedział.

Sophie poruszała drążkami sterowymi bardzo sprawnie i jednocześnie na ogromnym luzie. Była urodzoną pilotką, ona i samolot stanowili jedność.

- Piękny krajobraz, te widoki nigdy mi się nie znudzą - odezwała się.

- Rzeczywiście wspaniały widok - odpowiedział, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- A co na to blondynka? - zapytała, gdy zorientowała się, że się jej przygląda.

- Kto? - Gibb był najwyraźniej zdezorientowany.

- Twoja dziewczyna.

- Ach, Stacy! Pewnie zamiast się rozglądać, pisałaby SMS-y.

- Nie to miałam na myśli.

- Nie? A co?

- Gapiłeś się na mnie. Jak by to skomentowała?

- Patrzyłem nie na ciebie, a na deskę rozdzielczą - skłamał gładko.

- Jasne.

Skoro nie chciała, żeby faceci się na nią gapili, powinna nosić dłuższe szorty.

- Masz niezłe nogi.

- Blondynka też.

- Mylisz się co do mnie i Stacy. Jesteśmy tylko... - No właśnie, kim oni właściwie są dla siebie?

- Przyjaciółmi, którzy czerpią wzajemną korzyść z bycia razem? - odpowiedziała.

Miała rację, ale tylko co do korzyści, raczej nie łączyła ich przyjaźń.

- Możemy zmienić temat? Powiedz mi na przykład, kiedy nauczyłaś się latać?

- Kiedy miałam szesnaście lat, zdobyłam licencję - odpowiedziała z dumą.

- Nieźle.

- Mój ojciec był pilotem. To jego samolot. Dał mi go, gdy przeszedł na emeryturę, bo zaczął tracić wzrok.

- Przykre.

- Tak, tatuś czuje się jak ptak, któremu złamano skrzydło. Smutne.

- Świetnie mówisz po angielsku, o wiele lepiej niż ja po hiszpańsku.

- Od dziecka jestem dwujęzyczna. I mam dwa obywatelstwa. Mama była Amerykanką, jeździliśmy do Ventury w Kalifornii na każde Boże Narodzenie.

- Naprawdę? Mam domek przy plaży w Santa Barbara.

- Mogłam się tego domyślić.

- Masz coś przeciwko bogatym ludziom?

- Skądże. Gdyby nie oni, nie miałabym pracy.

- Pytam, bo niektórzy bogacze paskudnie się zachowują. Na pewno nieźle dają ci w kość.

- Wygląda na to, że to raczej ty jesteś do nich uprzedzony.

- Czyste wariactwo. Przecież sam jestem jednym z nich. Mój majątek szacowany jest na ponad miliard dolarów. - No może stracił trochę na ostatniej inwestycji, ale nikaraguański projekt przyniesie mu miliony. - To tak, jakbym był uprzedzony sam do siebie.

- A jesteś?

- Nie. Co to w ogóle za pytanie?

- Nie urodziłeś się w zamożnej rodzinie.

- Skąd wiesz?

- Masz to wypisane na twarzy. To jak, urodziłeś się bogaty czy nie?

- Nie.

- Czyli do wszystkiego doszedłeś sam.

- Na to wygląda - skwitował i dodał: - Zanoszą się na długi lot.

- To chyba oczywiste.

Zapadła cisza. Gibb nie zamierzał podtrzymać rozmowy, a jednak po chwili się odezwał:

- Okej, może mam kompleksy. Chcę wszystko robić perfekcyjnie. Poza tym łatwo chwytam przynętę.

- Czujesz się gorszy, bo uważasz, że nie zasłużyłeś na bogactwo?

Gibb chrząknął. Czy ta dziewczyna miała rentgen w oczach? Niedobrze.

- Wszystko w porządku? Lecimy wysoko. Może powinieneś rozluźnić krawat?

- Mam się świetnie - powiedział, ale zdjął krawat i rozpiął kilka guzików koszuli.

Od razu poczuł się lepiej.

- Obiecuję, że nie powtórzę nikomu, jeśli zdejmiesz również marynarkę.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Jak sobie chcesz.

Znowu zapadła cisza. Przelatywali teraz nad ciemnoniebieskim morzem, a potem znowu nad zielonym lądem. Uspokajało go to. Sophie nucila pod nosem.

- Powiedz, po czym poznałeś, że nie od zawsze miałem pieniądze?

- Przepracowujesz się. Bogaci od pokoleń potrafią się relaksować. Ty nie. Zachowujesz się jak ktoś, kto może w każdej chwili wszystko stracić.

- Mówisz jak wróżka.

- Może. Poza tym szastasz pieniędzmi. Stacy płaci kartą kredytową bez limitu i korzysta z drogich zabiegów. Bogaci z urodzenia na ogół liczą każdego dolara.

- Chyba przesadzasz.

- Pewnie tak, ale spójrz na siebie. Przez dwa tygodnie nie zdjąłeś garnituru. Ani razu.

- Zdejmuję, kiedy kładę się do łóżka.

- Ale nie wtedy, kiedy ludzie mogą cię zobaczyć. Chyba w głębi duszy za sobą nie przepadasz. Ciężko okupiłeś sukces.

Gibb poczuł gęsią skórkę. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- Ten kolega, do którego lecisz, żeby przeszkodzić mu w weselu, jest pewnie twoim jedynym przyjacielem, jedyną osobą, która wie, jaki jesteś naprawdę.

- Skąd ty to wszystko wiesz...?
- Po prostu patrzę na ciebie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sophie nie tylko była doskonałą pilotką, umiała też doskonale oceniać ludzi. Jako najmłodsza z siedmiorga rodzeństwa szybko nauczyła się rozpoznawać czyjeś słabe i mocne strony, a potem wykorzystywać wiedzę do własnych celów. A może po prostu lubiła ludzi, interesowali ją i stąd wnikliwa obserwacja.

Na ogół nie dzieliła się swoimi spostrzeżeniami, ludzie nie lubią być oceniani. Skąd więc ta śmiałość w stosunku do Gibba? Miał ponurą minę, jakby usłyszał złe wieści. A mają jeszcze przed sobą wiele wspólnych godzin w ciasnym kokpicie.

- Powinieneś być dumny, że do wszystkiego doszedłeś sam - starała się załagodzić sytuację.

- Jak widzisz, nie jestem.
- Jak zdobyłeś majątek?
- Mama wyszła bogato za męża, zostałem adoptowany.
- Ojczym zostawił ci pieniądze w spadku?
- Skądże, on żyje i ma się świetnie.
- Zatem dał ci milion dolarów na start.
- Też nie. Po prostu dzięki niemu poznałem różnych ludzi. Pierwszy milion zarobiłem, wymyślając grę do załadowania w telefonie. Wtedy ten biznes dopiero raczkował.
- A co to za gra?
- *Zimdiggy*.
- Ooo! Grałam w nią, jest zabawna. Wymyśliłeś jeszcze jakąś?
- Sprzedałem prawa do niej większej spółce i zacząłem robić interesy, współfinansując różne projekty. Tak naprawdę nie mam głowy do wynalazków. Umieję natomiast przewidzieć, co się sprzeda. Wspieram ludzi z pomysłami, nie boję się ryzyka.
- Wolisz więc zarabiać, niż wymyślać.
- W ten sposób pomagam innym realizować marzenia.

- Mnie *Zimdiggy* pomogła odegnąć czarne myśli, kiedy czekałam na wynik operacji ojca. Kiedy zamierzasz korzystać z owoców swojej pracy?

- Moja praca jest owocem - powiedział, ale bez przekonania.

Biedny facet, udaje, że nie widzi problemu.

- Osiągnąłem sukces dzięki pomocy ojczyma.

- A co złego w tym, że ci pomógł?

- Wszystko zawdzięczam szczęśliwemu zrządzeniu losu, a nie sobie.

- Nie doceniasz się. Lubisz ojczyma?

- Jestem mu wdzięczny za pomoc, ale niespecjalnie się dogadywaliśmy. To szorstki facet.

- A jaki był twój prawdziwy ojciec?

- Nigdy go nie znałem, zostawił mamę, kiedy byłem małym dzieckiem. Nawet nie wiem, co się z nim dzieje, czy w ogóle żyje.

- Nie masz ochoty go odszukać?

- Ani trochę.

Smutne. Gibb wyglądał jak balon, z którego spuszczone powietrze. Mimo to było w nim coś, co ją pociągało. Może czuł podobnie, skoro zerkał co jakiś czas na jej nogi i... piersi. Chyba mu się podobała. To ją podnieciło, ale przecież powinna twardo stąpać po ziemi. To facet nie dla niej, mógłby zaproponować co najwyżej przelotny romans. Z drugiej strony czemu nie? Czyż jedna namiętna noc nie wystarczy? Zaczął się jej nawet podobać w garniturze, który doskonale skrojony podkreślał sylwetkę. No i te płowe włosy.

Co chwilę zerkała na niego ukradkiem. Był dobrze zbudowany, umięśniony, ale bez przesady. Wspaniały, mniem.

Lecieli nad Kostaryką i zmierzali ku Morzu Karaibskiemu. Niedługo znajdą się w przestrzeni powietrznej Nikaragui.

- Sophie?

- Tak?

- Jesteś mężatką?

Zaskoczyło ją to pytanie, zarumieniła się. Zamiast odpowiedzieć, podniosła dłoń bez obrączki.

- A masz chłopaka?

Dobre pytanie. Analizowała szybko, co ją łączy z Emiliem. Lubiła go, tylko tyle. Zwlekała z odpowiedzią. Studiowała uważnie instrumenty na desce rozdzielczej. Wszystko było w porządku.

- Sophie?

- Emilio jest moim chłopakiem w równym stopniu, co Stacy twoją dziewczyną.

- Ach, więc to przyjaźń korzystna dla obu stron. Zatem nic poważnego?

- Jestem za młoda na poważny związek.

- A ile masz lat?

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że nie powinno się pytać kobiety o wiek?

- Ja mam trzydzieści dwa.

- A ja dwadzieścia siedem.

- I wciąż nie jesteś gotowa się ustatkować?

- A ty?

- Nie, ja nie.

Wyczerpali temat i zapadło milczenie.

I dobrze, powinna się skoncentrować na pilotowaniu. Skontaktowała się z wieżą kontrolną w Nikaragui. Lecieli na wysokości dwóch tysięcy trzystu metrów z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Po chwili cisza zaczęła jej działać na nerwy. Zerkała na Gibba kątem oka. Piękny jak gwiazdor filmowy i taki tajemniczy. Pracoholik, który dawno temu wyrzekł się emocji. Pełen sprzeczności.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Jakoś nic cię do tej pory nie powstrzymywało.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać.

- Pytaj, zobaczymy, co też ci chodzi po głowie.

- Na czym ci najbardziej w życiu zależy?

- Może to ty powinnaś mi powiedzieć.

- Kiedy to zrobię, nie będziesz musiał uruchamiać szarych komórek, żeby poddać się emocjonalnej wiwisekcji.

- Analizowanie samego siebie wydaje się przereklamowane.
- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.
- Powiedziałaś, zdaje się, że nie muszę odpowiadać, jeśli nie mam ochoty.
- Zmieniłam zdanie.
- Lubisz rządzić.
- Jednym słowem nie wiesz, czego pragniesz w życiu.
- Chyba niczego. Śnię na jawie.
- Jak dotychczas, nie uczyniło cię to szczęśliwym. Gibb milczał chwilę, potem

zmienił temat.

- Zgłodniałem. Masz coś do jedzenia?
- W pudełku na siedzeniu za tobą.
- O! Krakеры z żytniej mąki, wieki ich nie jadłem.
- Moje ulubione.
- Masz coś jeszcze równie ciekawego?
- Poszukaj.

Okazało się, że są jeszcze cukierki ślazowe i batony czekoladowe.

- Czasami zabieram na pokład siostrzeńców.

Zaczął chrupać krakersy i wyciągnął rękę, żeby ją poczęstować. Musnęli się palcami, a Sophie przeszył prąd.

- Zajadaliśmy się takimi krakersami ze Scottem, gdy urządzaliśmy wyprawę pod namiot.

- Może będziecie mogli do tego wrócić, jak już pogrzebiesz jego plany małżeńskie.
- Masz mnie za dupka.
- Nie powiedziałam tego.
- Nie musiałaś.
- Jednak czujesz się odrobinę winny.
- Ile czasu zajmie nam dotarcie do Key West?

- Musimy zatankować, nie wiadomo, czy pogoda się utrzyma. Hm, myślę, że około czterech, pięciu godzin.

- Nie możemy lecieć szybciej?

- Jeżeli ci się tak spieszy, powinieneś zadzwonić po odrzutowiec.
- Niestety, jeszcze bardziej zależy mi na dyskrecji.
- W takim razie usiądź, rozluźnij się i pozwól mi wykonywać moją robotę.
- Nie jestem w tym dobry, ale spróbuję.

Zamknął oczy, zaczął regularnie oddychać, a jakiś czas później Sophie zorientowała się, że usnął. I dobrze. Przelatywali nad Morzem Karaibskim. Dostrzegła niewielką wyspę, najprawdopodobniej bezludną, której nawet nie oznaczono na mapie. Prognoza pogody była dobra, ale nagle zaskoczona Sophie ujrzała na horyzoncie grubą warstwę gęstych chmur.

- A niech to! - mruknęła na tyle głośno, że Gibb się obudził.
- Co się stało? - zapytał nieco rozkojarzony.
- Wygląda na to, że pogoda się popsuła. Zaraz wpakujemy się w cumulusy, które są niebezpieczne dla małych samolotów. Może nas nieźle wytrząść.
- Coś jak seks w autobusie.
- Nie wygłupiaj się, to nie wygląda najlepiej. - Choć miała spore poczucie humoru, nie lubiła żartów na temat latania.
- Damy radę przelecieć?
- Nie lubię takich chmur. Musimy je ominąć.
- Ile czasu przez to stracimy?
- Nie jestem wróżką i nie mam kryształowej kuli.
- A nie możesz skontaktować się z wieżą kontroli lotów?
- W pobliżu żadnej nie ma, ale i tak powiedzieliby to samo, co ja tobie. Omiń chmury.
- Cholera! Sądziłem, że sztorm dotrze do nas dopiero za dwa dni.
- Te chmury nie są częścią burzowego frontu, gdyby tak było, kontrola lotów w Nikaragui kazałaby mi lądować.
- Szkoda, że nie umiesz wpływać na matkę naturę. Cumulusy były coraz bliżej. Sophie troszkę się bała.

Nie latała nad Karaibami, a warunki atmosferyczne stały się naprawdę niepokojące. Nagle El Diablo został uderzony przez porywisty wiatr wiejący z ogromną prędko-

ścią. Robiła co mogła, żeby samolot nie zaczął pikować. Czowała się jak surfer walczący z falą.

- Co się dzieje? - zapytał nerwowo Gibb.

- Siedź cicho!

O dziwo, posłuchał.

Zeszła niżej, mając nadzieję, że wiatr będzie tam mniejszy. Znajdowali się teraz na mniej więcej tysiącu trzystu metrach. Niestety wiatr wcale nie zelżał, a widoczność była fatalna. W dodatku powinni jak najszybciej uzupełnić paliwo.

- Musimy zawrócić do Nikaragui.

- Dlaczego? - spytał Gibb.

- Nie wystarczy nam paliwa do Florydy, a jeśli będziemy zwlekać, nie damy rady wrócić.

- Myślałem, że zatankowałaś odpowiednio dużo.

- Przy takim wietrze silnik więcej spala.

- Nie ma żadnej wyspy, na której moglibyśmy przeczekać?

- Najbliżej jest Island de Providencia, czyli Wyspa Opatrzności, ale żeby tam dotrzeć, musielibyśmy przelecieć przez chmury. Chyba nie warto ryzykować życia, byle tylko nie dopuścić do ślubu twojego przyjaciela?

- W porządku, po prostu szukam jakiegoś rozwiązania.

Chwilę potem silnik zaczął charczeć. Sophie na wszelki wypadek zeszła jeszcze niżej.

- Mam nadzieję, że ten samolot nie rozleci się w powietrzu - rzucił nieco kąśliwie, ale też z niepokojem Gibb.

- Nie przejmuj się, El Diablo ma swoje lata, ale doleci tam, gdzie chcemy. Pewnie mieszanka paliwa była zbyt bogata, dlatego silnik protestuje. - Starła się mówić spokojnym tonem, ale w głębi duszy czuła narastający niepokój.

Przez chwilę lecieli spokojnie. Sophie miała już wywołać najbliższą wieżę kontroli, ale silnik znów zaczął się krztusić i tym razem zdenerwowała się nie na żarty. Co się dzieje? Świece? Przecież niedawno je wymieniała.

Znowu obniżyła pułap lotu.

- Powiedz mi, że zejdziesz jeszcze niżej, a pędzę po spodenki kąpielowe.

Sophie nie miała kiedy zrewanżować się dowcipną odpowiedzią, bo skupiona była na pilotowaniu. Z zaciśniętymi zębami przypominała sobie wszystko, czego nauczyła się o przymusowym lądowaniu. Jej puls gwałtownie przyspieszył. Nie panikuj, powtarzała w myślach.

- Muszę posadzić samolot i sprawdzić, co się dzieje z tym cholernym silnikiem - mruknęła.

- Jak? Gdzie?! - Gibb aż wyprostował się w fotelu.

- Tam. - Wskazała niewielką bezludną wysepkę, którą wcześniej mijali.

- Na tym czymś wielkości dropa?

- Masz lepszy pomysł?

- Lepszy od rozbicia się na tej wysepce?

- Postaram się, byśmy wyszli z tego cało. Widzisz ten wąski kawałek plaży? Tam wylądujemy. Trzymaj się, schodzimy!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brzuch samolotu szorował o wierzchołki drzew, słychać było uderzenia gałęzi o metal.

Gibb skulił się na siedzeniu i zerknął na Sophie. Po czole spływała jej kropla potu, zagryzała dolną wargę, ale przymrużone oczy wyrażały determinację. Jakby mówiła sobie w duchu: wyląduję na tej cholernej wyspie.

Niech diabli wezmą konkurencję! To z obawy przed nią wynajął tego grata. Niech szlag trafi Scotta i jego szaleńczy pomysł poślubienia nieznanej dziewczyny. No dobrze, jego samego też, za to, że pozwolił emocjom zapanować nad rozsądkiem.

Teraz podziwiał zimną krew i umiejętności Sophie. Wielu mężczyzn w takiej sytuacji krzyczałoby ze strachu, zresztą i on kilka razy krzyknął, a ona umiała zachować spokój, panowała nad sobą. Jej pewność siebie dodawała mu otuchy.

W kokpicie wszystkie nieprzymocowane rzeczy zaczęły fruwać, między innymi reszta przekąsek. Ciężkie pudełka ślizgały się po pokładzie i obijały o siebie.

Gibb często latał, znał statystyki. Uznał, że skoro samoloty na tle innych środków transportu uchodzą za najbezpieczniejsze, nie należy przewidywać najgorszego. A przecież samoloty od czasu do czasu spadają, zwłaszcza te małe i zużyte.

Od dziecka był wychowywany w przekonaniu, że jest kimś niezwykłym. Jego pycha zostanie zaraz ukarana.

Koła z hukiem dotknęły ziemi. Gibb zamknął oczy, odruchowo napiął mięśnie. Samolotem szarpnęło, rzuciło na boki, ale zatrzymał się.

- Żyjemy - odezwała się Sophie.

El Diablo był przechylony na bok, słońce wpadało przez szyby do wnętrza kokpitu. Wokół panowała niesamowita cisza.

- Najlepsze twarde lądowanie, jakie mi się w życiu przytrafiło. - Gibb zaśmiał się nerwowo.

- A ile ich zaliczyłeś?

- To było pierwsze.

- Zatem gratuluję nowego doświadczenia.

- A ile razy ty byłeś w podobnej sytuacji?

- Jeśli myślisz, że mam zwyczaj rozbijać samoloty, jesteś w błędzie.

- Sophie, nie podważam twoich umiejętności, nie znam lepszej pilotki.

- No popatrz, a z twoich słów można by wywnioskować coś zupełnie innego.

- Teraz przydałyby ci się umiejętności mechanika pokładowego.

- Jestem mechanikiem, zrobiłam odpowiedni kurs.

- Niesamowite.

- Nie podlizuj się.

- Tak sobie gadam, nie zwracaj na mnie uwagi.

- Słuchaj, Gibb, sprawdziłam prognozę pogody, dbam o samolot, ale czasami zdarza się coś, czego nie możesz przewidzieć.

- Masz wyrzuty sumienia? Nie przejmuj się, tylko żartowałem. Najważniejsze, że nic nam się nie stało.

- Dlaczego w prognozie pogody nie było nic o cumulusach?

- Mleko już się rozlało, nie ma co załamywać rąk. Teraz trzeba posprzątać.

Proszę bardzo, specjalista od rozwiązywania problemów. Nie nurzaj się w samooskarżeniach, spróbuj coś zmienić, a jeżeli nie możesz - idź dalej.

- Przepraszam.

- Daj spokój, napraw silnik i lecimy dalej.

- Postaram się zrobić co w mojej mocy. Niestety trudności lubią się mnożyć.

- Kiedy dowiesz się, co je spowodowało, znajdziesz rozwiązanie.

Sophie odpięła pas, spojrzała na rumowisko wewnątrz samolotu i ciężko westchnęła.

- Jak większość Amerykanów, żyjesz od zadania do zadania. Jeżeli widzisz piłkę, musisz ją kopnąć, skoro jest jedzenie, trzeba je zjeść, a jeśli przed nami wznosi się góra, to po to, by się na nią wspiąć.

- Czyżby Kostarykanie żyli bez celu? - Już to wcześniej zauważył, że tutejsi ludzie robią wszystko w ślimaczym tempie. Inaczej niż w Stanach.

- Więcej czasu poświęcają rodzinie i przyjaciołom, mniej gonitwie za wyznaczonym, często bez sensu, celem.

- Zarabianie pieniędzy jest według ciebie pozbawione sensu?

- Masz wystarczająco dużo, żeby przeżyć?

- Mam dziesięć razy więcej, niż potrzebuję.

- To po co ta gonitwa za kolejnym zyskiem?

- Teraz akurat działam na rzecz przyjaciela. Gdyby mnie nie obchodził, siedziałbym w Bosque de Los Dioses, zajmował się swoją inwestycją i pomnażaniem zysków.

- Raczej tkwisz na bezludnej wyspie i przez czas jakiś to się nie zmieni. Spróbuję naprawić samolot jak najszybciej, ale nie wiem, jak długo to potrwa.

- Wspominałaś, że jesteś w połowie Amerykanką. Wykorzystaj jankeską pomysłość.

- Amerykanie sądzą, że mają zawsze najlepszą receptę na rozwiązanie problemu, dlatego u wielu ludzi wzbudzają agresję.

Gibb wyprostował się, poprawił marynarkę. Co złego w tym, że uważa swoje pomysły za dobre? Każdy tak robi. Sophie również.

- Wzbudzam twoją agresję? A może wydają ci się odpychający?

- Nie, to był tylko komentarz do różnic kulturowych. Mam podwójne korzenie i skłonność do porównań.

- Fajnie, że jesteś taka otwarta, ale moglibyśmy porozmawiać o tym później? Teraz ciut się spieszę.

- Jesteś niemożliwy.

Postanowił tego nie komentować. Chwycił za klamkę w drzwiach, ale ustąpiły tylko parę centymetrów, coś je blokowało.

- Ki diabeł?

- Jakiś kłopot, panie menedżerze? - Sophie popchnęła drzwi od swojej strony. Ustąpiły z łatwością. - Tędy, proszę.

Fuknął pod nosem, ale posłuchał.

Sophie stała wsparta pod boki i przyglądała się maszynie. Ładnie wyglądałaby w czerwonym bikini, pomyślał Gibb. Puls mu przyspieszył. Zaraz jednak przywołał się do porządku. Nie czas i nie miejsce na takie rzeczy.

El Diablo był przekrzywiony. Koło od strony pilota ugrzęzło w piasku, a drugie zahaczyło o powalony pień drzewa. Pnącza, jakich w tropikalnym lesie nie brakowało, oplotły drzwi od strony Gibba, dlatego nie mógł ich otworzyć.

- Co teraz?

- Spróbuję naprawić silnik, a potem będzie trzeba jakoś inaczej ustawić samolot, żeby mógł wystartować.

Gibb spojrział na plażę. Nie był to wymarzony pas startowy. Nie wątpił w umiejętności Sophie, ale przydałby się plan B na wypadek, gdyby nie udało się poderwać maszyny.

- Wezmę narzędzia - rzuciła i wsiadła do samolotu.

Gibb rozejrzył się wokół. Wyspa była mała, skalista, ale też porośnięta tropikalną roślinnością. Mniej więcej pośrodku wylaniał się szczyt przekraczający chyba trzysta metrów. Spróbował zatelefonować, ale nie było zasięgu. Mógł się tego spodziewać. Schował komórkę do kieszeni.

Wróciła Sophie, już w różowym kapeluszu na głowie, ze skrzynką wypełnioną narzędziami.

- Może spróbuję skontaktować się ze światem przez twoje radio?
- Jest poza zasięgiem wieży kontrolnej, tak jak twoja komórka. Poza tym mam nadzieję, że naprawię to szybciej, niż ktokolwiek zdołałby do nas dotrzeć.

- Do wieczora dasz radę?

- Nie wiem, ale nawet gdyby mi się udało, nie zamierzam startować po ciemku. Nie w takich warunkach.

- A jeśli to grubsza sprawa?

- Chociażbym chodziła ciemną doliną, zła się nie ulękne.

- Nie żartuj sobie. Spróbuję nawiązać łączność przez radio.

- Dobrze, ale nie spodziewaj się, że jeśli ktoś cię usłyszy, wyślą po ciebie helikopter. Możemy liczyć co najwyżej na łódź. Tak czy inaczej, spędzimy na wyspie noc. Oswój się z tą myślą.

- Trudne zadanie.

- To może zajmij się czymś, trochę mi pomóż.

- W jaki sposób?

- Potrzyj narzędzia albo przejdź się do lasu, nazbieraj chrustu i rozpal ognisko.

- Ognisko?

- Chyba robiłeś to już kiedyś. Bierzesz dwa patyczki i pocierasz o siebie.

- Jak Lauren Bacali w *Key Largo*?

- Jak Lauren Bacali w *Mieć i nie mieć*.

- Pewna jesteś?

- Na sto procent.

- Muszę ci wierzyć na słowo. Skąd znasz takie stare filmy?

- Mama miała bzika na ich punkcie. Ja też bywam sentymentalna i wtedy włączam klasykę.

- No popatrz, o to cię nie podejrzewałem. Wydajesz się mocno osadzona w rzeczywistości.

- Bo jestem pilotem, ale oni też lubią bujać w obłokach.

- Nie miałem na myśli zawodu, ale osobowość. Sophie, po co nam właściwie ogień?

Popatrzyła na niego jak na kosmitę.

- Żeby było jasno, ciepło. Odpędzi moskity, a my będziemy mogli przygotować sobie coś na kolację.

- A co chcesz przyrządzić?

Obdarowała go tajemniczym uśmiechem godnym Mony Lizy.

- Jeśli chcesz wrócić cało z lasu, idź po drewno już teraz, nie czekaj, aż się ściemni.

- Patyki mogę przynieść, ale jeżeli naprawdę wyobrażasz sobie, że będę pocierał jeden o drugi, żeby rozpałcić ogień, to muszę cię wyprowadzić z błędu.

- Może dam ci zapalki, jeśli ładnie poprosisz.

I znowu się do niego uśmiechnęła. Poczuł, że robi mu się gorąco, a jednocześnie nieswojo.

- No to idę i postaram się coś przynieść.

Lekko oszołomiony Gibb powędrował do lasu. Piękne ciało, zniewalający uśmiech, ale to tylko pożądanie przyprawione szczyptą niebezpieczeństwa. Wystarczy, że będzie trzymał ręce przy sobie, i nic się nie stanie. Jutro rano polecą dalej.

Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby się nie odwrócić i nie spojrzeć na Sophie. Pochylona, sprawdzała podwozie. Piersi lekko falowały, dżinsowe szorty ciasno opinały pupę. Zrobiło mu się sucho w ustach. Nie zwracając uwagi na piasek, który dostał się do butów, szybko ruszył przed siebie. Gdyby został, mógłby zrobić coś naprawdę głupiego, na przykład uwieść Sophie.

Zdjęła trampki, bo na bosaka lepiej jej się myślało. Zaczęła krok po kroku sprawdzać samolot. Dzięki tej czynności na chwilę zapomniała o Gibbie, który stał nieopodal i wyglądał w tym swoim absurdalnym ubraniu bardzo seksownie. Przydałby się profesjonalny fotograf, żeby go uwiecznić. Garnitur od Armaniego na bezludnej wyspie...

Miała kłopot. Gibb Martin podobał się jej jak nikt dotąd. Gdy na nią patrzył, odczuwała podniecenie. Smażyła się na wolnym ogniu.

Tak, zdecydowanie powinna zająć się samolotem. A jeśli nie da rady go naprawić? Nikt nie wiedział, gdzie są, nawet jej rodzina. Radio nie łąpało kontaktu z żadną wieżą kontroli, komórki nie działały. Minie pewnie kilka dni, zanim złączą ich szukać. A oni będą błąkać się po wyspie, tylko we dwoje... Co tam, przecież nie zaszkodzi im dresz-

czyk emocji, niech będzie nawet mały skok w bok. Tak dla czystej przyjemności, bez zobowiązań.

Brzmiało nieźle w teorii, gorzej z praktyką. Podświadomie czuła, że kilka dni sam na sam z Gibbem bardzo by jej się spodobało. Mogłaby nabrać apetytu na więcej.

Zebrała narzędzia. Musi wziąć się do roboty, by mogli jutro wystartować. Nie tylko żeby dostarczyć Gibba na wesele, ale przede wszystkim uratować własną skórę. Żadnego seksu.

Po kilku minutach już wiedziała, co powodowało zadyszkę silnika. To była na szczęście drobnostka, gorzej z uszkodzeniami spowodowanymi awaryjnym lądowaniem. Zdenerwowana Sophie zrobiła krok do tyłu i wpadła prosto na Gibba.

- Spokojnie, dziewczyno! - Przytrzymał ją za łokieć.

Wyswobodziła się energicznie i odskoczyła od niego.

Alleluja, wreszcie zdjął marynarkę i krawat, podwinął też rękawy koszuli. Czas najwyższy.

Bicepsy Gibba robiły wrażenie. Najwyraźniej Gibb czuł się coraz swobodniej, bo po chwili zdjął buty i podwinął nogawki spodni. Wyglądał przy tym stylowo i zabójczo przystojnie. Stanowczo był zbyt doskonały. Cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

- O co chodzi? - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Wskazał na spory stos drewna, który udało mu się dotaszczyć. No proszę, jaki zaradny.

- O zapalki. Teraz będą potrzebne.

- Jasne, już przynoszę.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Miała gęsią skórkę, gdy skierowała się w stronę bagażnika. A gdyby tak popchnęła go na piasek i... Nigdy jeszcze nie uprawiała seksu na plaży. Dziwne, mieszkała przecież nad morzem.

Wiedziała dobrze, że wciąż się jej przygląda. Hormony buzowały, a noc sprzyjała takim myślom. Jest nie tylko plaża, znajdzie się też kocyk. Chwyciła go i trochę oprzytomniała. Przecież Gibb jest gościem, klientem, nie powinna się z nim spoufalać.

- Masz te zapalki czy nie? - usłyszała.

- Już idę.

Podawała mu zapalki. Ich palce zetknęły się. Zapalki, ogień, pożądanie, wszystko do siebie tak ładnie pasowało. Spojrzenie Gibba mówiło samo za siebie, też to czuł. Usiadła powoli, przyciskając do piersi kocyk. Wpatrywała się, jak Gibb rozpala ognisko. Nie, tak naprawdę wpatrywała się w jego tyłeczek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Słońce powoli zniknęło za horyzontem, od wody wiała lekka bryza, zaczynało robić się chłodno. Sophie otuliła się pledem i podeszła bliżej ogniska. Gibb dokładał drobne gałązki, zeschnięte wodorosty i liście. Niewielkie płomyczki po kilku minutach przekształciły się w buzujący ogień.

- Przydałoby się przyrzadzić coś do jedzenia. Umieram z głodu.
- Są kielbaski, bułki do hot dogów i zimne piwo.
- Zawsze tyle ze sobą wozisz?
- Nie zawsze, ale planowałam spędzić ten wieczór z przyjacielem.
- Powinienem powiedzieć, że jest mi przykro, ale nie będę kłamać.

Sophie napotkała jego spojrzenie pełne pożądania. Owinęła się ciaśniej kocem. Nie przeprowadziła jeszcze zasadniczej rozmowy z Emiliem. Również dlatego nie ma mowy, by z Gibbem do czegoś doszło. Nieważne, jak na nią patrzy, nieważne, jak ją to podnieca. Nie chciała mieć jeszcze większych wyrzutów sumienia.

- Pójdę po piwo. - Chciała oddalić się choć na chwilę, żeby opanować narastające pożądanie.

- Zostań, trzęsiesz się z zimna, ja przyniosę. Żeby tylko wiedział, co powodowało jej dreszcze.

- Okej. - Przez chwilę miała spokój, ale tylko przez chwilę. Wrócił z piwem i huśtawka emocji rozpoczęła się od nowa. Zawsze chciała czuć coś takiego do mężczyzny, ale czemu zdarzyło się to akurat teraz? Przecież ona i Gibb pochodzą z zupełnie różnych światów. Tylko że teraz byli na ziemi niczyjej. Nie obowiązywały tu żadne reguły ani kodeksy etyczne. Jak się zachować?

- Szukam czegoś, co nadawałoby się na rożen - odezwał się Gibb, rozglądając się wokół.

- Zabawne, mogę łatwo wyobrazić sobie ciebie jedzącego kawior, ale opiekane kielbaski? Hm, to do ciebie nie pasuje.

- Nie jestem aż taki sztywny.

- Dwa tygodnie urlopu w garniturze... Och, co za wspaniały luz.

- Nie byłem na wczasach.

- Pewnie nie, skoro bez przerwy telefonowałeś.

- Obserwowałaś mnie?

- Tak.

Zmrużył oczy, przestał dorzucać do ognia i podszedł do niej.

- Zaraz na mnie wejdiesz - powiedziała i odsunęła się od niego.

- Szpiegujesz mnie?

- O czym ty mówisz? Po co? Dla kogo?

- Nie wiem, na przykład dla Fisby Corp.

- Pytasz poważnie?

- Śmiertelnie. Jeśli mnie nie szpiegowałaś, to dlaczego mnie obserwowałaś?

- Spójrz do lustra. Odlotowy facet w garniturze od Armaniego w zapomnianym zakątku świata. Ciacho?

- Jaki niby jestem? Odlotowy?

- Nie udawaj skromnisią. To co, pieczemy kielbaski? - rzuciła, żeby zmienić temat.

Wybrał trzy gałęzie, które nadawały się na rożen, nadział na nie kielbaski i jedną wręczył Sophie. Usiedli obok ogniska z patykami w ręku, pili piwo i obserwowali płomienie.

- Dlaczego posądziłaś mnie o szpiegowanie?

- Przepraszam, mam lekkiego fioła na tym punkcie. Przygotowuję pewien projekt biznesowy w Bosque de Los Dioses. Już dwa razy się zdarzyło, że konkurencja sprzątnęła mi pomysły sprzed nosa. Na innowacjach można dużo zarobić, pod warunkiem że jest się pierwszym.

- To dlatego chciałaś opuścić wyspę po cichu?

- Tak, chociaż nie jestem pewien, czy ktoś mnie szpieguje. Chyba zaczynam popadać w paranoję.

- Skąd pomysł, żeby inwestować akurat tutaj?

- Kostaryka stawia na ekologię, mój projekt również. Poza tym zawsze marzyłem o miejscu, w którym mógłbym się zaszyć, a odizolowany luksusowy ośrodek świetnie się do tego nadaje.

- A nie kierowałaś się też tym, że w Kostaryce, ogólnie mówiąc, nie stawia się inwestorom wymagań dotyczących przestrzegania praw pracowniczych?

- Trafiłaś w sedno.

- Opowiedz o swoich planach, przysięgam, nie jestem szpiegiem.

- Nie będę zanudzał cię szczegółami technicznymi, ale chodzi o to, żeby zrewolucjonizować sposób podróżowania, w oparciu o zieloną energię. Pracujemy nad prototypowym pojazdem, który będzie woził ludzi z Monteverde do Bosque de Los Dioses.

- Jeżeli dobrze rozumiem, zamiast samolotami, ludzie będą podróżować łądem. - Zaczęła mu się badawczo przyglądać w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Właśnie. Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to... - Gibb przerwał, bo dotarło do niego, co to oznacza. - Pozbawię cię pracy.

- Na to wygląda - odpowiedziała, łapiąc się za gardło.

- Sophie, w ogóle o tym nie pomyślałem, ale jakoś to będzie. Zawsze znajdą się turyści, którzy będą chcieli polatać nad górami. Na jakiś czas spadną ci dochody, ale wszystko wróci do normy - powiedział bez przekonania.

- Gibb, nie masz pojęcia o moich finansach. Nie wiesz, ile wydaję na paliwo, ubezpieczenia, naprawy. Ten okresowy, jak to określiłeś, spadek dochodów może mnie pograżyć. Twój projekt spodoba się zwolennikom ekoturystyki. Niby czemu mieliby latać na wycieczki moim trzeszczącym i śmierdzącym samolotem?

- To jeszcze nic pewnego, moja inwestycja może nie wypalić.

- Gdybyś w nią nie wierzył, nie pakowałbyś w to pieniędzy i nie tracił czasu.

- Sophie, zrozum, jeśli się uda, miliony ludzi na tym zyskają.

- Jasne, tylko kilku pilotów z dziczy straci pracę.

- Stworzę nowe możliwości zatrudnienia, uczynię z Kostaryki kraj zaawansowany technologicznie.

Miał rację, oczywiście. Wszystkie argumenty, których użyła, podyktowane były jej prywatnym interesem. Panna egoistka. Niby dlaczego miałyby zareagować inaczej? Kochała swoją pracę i ten stary samolot. Gibb zaś zamierzał zmienić jej życie.

- Masz czas, żeby się dostosować do nowych okoliczności. Budowa toru i pojazdu potrwa około dwóch lat, a ponieważ jesteśmy w Kostaryce, to może i dłużej. Pomogę ci znaleźć pracę w charakterze pilotki, kurczę, może nawet u mnie.

- Oczywiście twój obecny pilot będzie zachwycony.

- Musiałabyś zrobić dodatkowy kurs, ale pomysł nie jest zły.

- Łapię, o co chodzi. Gdy pojawiają się kłopoty, sypiesz groszem i uważasz, że po sprawie.

- Sophie, próbuję posprzątać bałagan, którego narobiłem. Parę godzin wcześniej zarzuciłaś mi, że mam w nosie innych ludzi i dbam tylko o własny interes. Usiłuję udowodnić, że jest inaczej, próbuję być przyjacielski.

- Takim zachowaniem nic nie zdołałaś. Pieniądze były i są dla ciebie na pierwszym miejscu.

- Za mało mnie znasz, by wyciągać takie wnioski.

- Dwa tygodnie wystarczą. Zrobisz, co uważasz za słuszne, a ja sama zatroszczę się o swoje sprawy.

- Nie chciałem cię urazić. To nie musi tak wyglądać, zawsze jest rozwiązanie.

- Zakończmy już tę dyskusję - powiedziała i ruszyła w stronę samolotu. Bogacze! Zawsze tacy sami. Położyła głowę na skrzydle El Diablo. Oskarżała Gibba, ale sama też miała co nieco na sumieniu. Po pierwsze, nie znosiła zmian. Lubiała swoje życie. Miłe, łatwe. Nie miała szefa, przed którym musiałaby się tłumaczyć, pracowała tyle godzin, ile chciała. W wieku dwudziestu siedmiu lat miała własny samolot. Po co cokolwiek zmieniać? Niestety projekt Gibba ją do tego zmusi.

Była rozpieszczona. Przez całe życie rodzina na nią chuchała i dmuchała. Ojciec, gdy rodzeństwo dorastało, był wiecznie zapracowany, potem załamany śmiercią żony. Jednak znalazł czas i chęci, by nauczyć Sophie pilotażu, to jej podarował samolot. Czy

siostry i bracia nie mieli o to do niej żalu? Skoro tak łatwo ocenia innych, powinna też umieć spojrzeć obiektywnie na siebie.

- Czy już wiesz, co nie działa? - Gibb zniecierpliwienie znalazł się tuż za nią, aż drgnęła na dźwięk jego głosu. - Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

- To ja przepraszam za mój wybuch. Nie lubię zmian, a szczególnie nieprzyjemnych niespodzianek. No nic, jest jeszcze trochę czasu, żeby się z tym oswoić, po co się martwić na zapas. Może niedługo wyjdę za mąż, będę rodzić dzieci, i zapomnę o lataniu?

- Nigdy nie przestaniesz latać - odparł stanowczo. - Żyjesz tym.

- Pewnie masz rację, ale nie wiemy, co przyniesie przyszłość. A jeśli nic dobrego nas nie czeka?

- To jak się w końcu miewa nasz samolot?

- Drobiazg, który powodował charkot silnika, już zlikwidowałam. W paliwie było trochę wody. Normalnie wyparowuje podczas lotu, ale tym razem ten piekielny wiatr namieszał, woda dostała się do gaźnika.

- No to świetnie, jutro rano możemy lecieć. - Gibb podskoczył z radości.

- Hm... nie tak szybko.

- Czemu? - zapytał zdziwiony.

- Uderzyliśmy o palmy podczas lądowania, pamiętasz?

- I co?

- Gdy już wylądowaliśmy, samolotem szarpnęło, wtedy zerwała się prawa linka sterownicza. Nie mam odpowiednich narzędzi, żeby ją naprawić.

- Nie możesz tego sklecić byle jak?

- Mogę, tylko że wtedy prawdopodobnie nie dolecimy do Key West.

- A do Island de Providencia?

- Kilometry przed nami, pod nami woda, a to, przypominam, nie jest hydroplan.

- Co innego możemy zrobić? Wieży wciąż nie udaje się złapać, prawda?

- Nie, ale możemy spróbować nawiązać kontakt z pilotem samolotu przelatującego nad nami.

- To co pozostaje? Czekać?

- Tak. Spróbuję coś zaradzić, ale nie licz na cud.

- I możemy tu tkwić wiele dni, tak?

- Niestety.

Gibb zaklął pod nosem.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie twoja wina, tylko okoliczności, ale wkurza mnie to.

- Może popatrz na to jak na zrządzenie losu. Dostałeś w darze czas, żeby to i owo przemyśleć, przewartościować swoje życie.

Miała dobre chęci, ale nie była to najlepsza propozycja.

- Nie widzę nic złego w tym, jak żyję. Jestem uosobieniem amerykańskiego snu.

- Źle mnie zrozumiałeś. Wcale cię nie krytykuję, po prostu radzę, żebyś się odprężył. Nie jesteśmy w Ameryce.

- Nawet nie wiesz, ile bym dał, żeby tam być.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gibb uznał, że niepotrzebnie się ciskał. Sophie starała się po prostu naświetlić sytuację z innej perspektywy. Na dodatek miała rację. Ostatnio jego życie składało się niemal wyłącznie z pracy. Uciekał w nią, by nie dokonywać niewygodnego bilansu, nie odpowiadać na pytania, na które nie chciał. Czuł, że dotychczasowe życie, z którego był taki dumny, rozpada się na kawałki. Szpieczy przemysłowi, decyzja Scotta i teraz jeszcze awaria samolotu.

Skoro miał już miliard dolarów, po co mu więcej? Czego chciał dowieść? I komu?

Co mu przyjdzie z fury pieniędzy na bezludnej wyspie? Stał na plaży, wpatrując się w migoczącą w świetle księżyca powierzchnię morza. Kim był naprawdę?

- Gibb... przepraszam - usłyszał głos Sophie. Wyglądała pięknie, uosabiała wszystko, o czym on tylko mógł marzyć: wolność, radość życia, szczęście.

- Nie przepraszaj. Miałaś rację.

- Czyżby było jak w przysłowiu? Nie wszystko złoto, co się świeci? - wyszeptała.

- Nie umiem już cieszyć się życiem. Patrząc na ognisko, które rozpaliliśmy, uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłem.

Kiedy to było? Owszem, uwielbiał gnać nowym bentleyem wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, ale nie robił tego od dawna. A nawet wtedy nie czuł się jak dzieciak, tego doświadczył dopiero dzisiaj, w towarzystwie Sophie.

- A bez przerwy się kłócimy.

- Racja. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuję. Lubię cię, Sophie. Naprawdę.

- Masz ochotę na *s'mores*? - zapytała z uroczym uśmiechem.

Miał ochotę nie tylko na krakersy z cukierkami ślazowymi, ale z chęcią ukradłby księżyc i podarował jej na platynowej tacy. Kiedy był w pobliżu Sophie, nic więcej nie potrzebował do szczęścia. Skąd ona czerpie tyle radości życia?

Wyciągnęła do niego rękę, on podał jej swoją. Tak zwyczajnie. I tak pięknie.

Dwie minuty później zajadali ciepłe *s'mores*, a czekolada i ślaz spływały im po brodach. Sophie zaczęła ją zlizywać, a Gibb nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Ups... fleja ze mnie.

Przysunął się bliżej.

- Co robisz?

- Prawdopodobnie popełniam wielki błąd.

- Ale... - Nie zdążyła skończyć. Wziął ją w ramiona i zaczął całować. Pragnął to zrobić, od kiedy jego wzrok spoczął pierwszy raz na ustach Sophie, na lotnisku w Liberze. Wtedy się pohamował ze względu na Stacy, ale teraz nie potrafił, nie chciał. Sophie miała miękkie, uległe i słodkie usta. Zlizywał z nich okruszki i czekoladę.

Przestali na chwilę. Kiedy przytuliła głowę do jego piersi, kołysał ją w ramionach. Zadziwiała go, pragnął jej. Przy niej czuł, że żyje, czerpał od niej energię.

To tylko czar chwili. Jesteśmy zdani na siebie, spragnieni przygody, tłumaczył sobie w duchu. Ale wiedział, że to nieprawda, chodziło o coś więcej. Chciał, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Sophie przeczesywała palcami jego włosy, czerpiąc z tego równie silną przyjemność, jaką odczuwał i on. Nie mylił się, prawidłowo odczytał mowę ciała. Sophie go pragnęła.

- Sophie, Sophie - szeptał, całując ją żarliwie.

Przesuwała powoli językiem po jego ustach. Odpowiedział intensywnym pocałunkiem. Smakowała lepiej niż najdroższe wino.

Nie zamierzał ukrywać erekcji. Niech Sophie wie, jak bardzo jej pragnie.

- Och... - powiedziała zadyszana.

- Przepraszam, nie mogłem wytrzymać ani chwili dłużej bez pocałunku.

- A jeśli pocałunki mi nie wystarczą?

- Chciałabyś...?

- Aha...

- Nie powinniśmy.

- Wiem. Ja mam chłopaka, ty masz dziewczynę, oboje próbujemy być im wierni.

Ale wyspa jest mała, nie mam dokąd uciec.

- Uciec? - Jedyne, o czym teraz myślał, to zdobyć ją, osiąść.

Zupełnie nim zawładnęła.

Roześmiała się.

- Co w tym zabawnego?

- Nie mogłabym być z tobą dłużej. Ja cieszę się życiem, a najważniejsza jest dla mnie rodzina. Ty masz zupełnie inne priorytety.

- Mógłbym je chyba zmienić. Kto wie? Jednak co do jednego mam absolutną pewność. Dzisiejszą noc chciałbym spędzić z tobą.

- Przecież prawie mnie nie znasz.

- Znam cię na tyle, żeby cię pragnąć. - Co się z nim dzieje? Dlaczego nie mógł nad sobą zapanować? I dlaczego czuł się z tym tak dobrze?

- Szybko przekonałbyś się, że nie pasuję do twojego towarzystwa, nie wiem, jakiego widelca używa się do czego, nie noszę eleganckich ciuchów...

- Sądzisz, że przejmuję się takimi drobiazgami?

- Owszem.

- Skąd wiesz?

- Hm, masz rację, za krótko cię znam.

- Ale coś do siebie czujemy.

- Myślę, że byłoby nam świetnie w łóżku.

- Nic więcej?

Potrząsnęła przecząco głową. Chyba nie tego oczekiwał.

- To co teraz?

- Chodźmy spać - powiedziała lekko drżącym głosem. - O brzasku spróbuję coś zrobić z linką sterowniczą, żebyśmy mogli dolecieć przynajmniej do Island de Providencia.

- A dalej?

- Wynajmiesz samolot do Key West i zdążysz przeszkodzić przyjacielowi w zawarciu małżeństwa. A ja zreperuję El Diablo i wrócę do domu.

- A co będzie potem?

- Potem? Nie będzie żadnego potem.

W zasadzie mówiła z sensem. Problem w tym, że on zawsze zachowywał się rozsądnie. Odpowiednio. Takie postępowanie sprawdzało się, ale też właśnie przez nie wylądował na bezludnej wyspie. A tutaj zaczął się zastanawiać nad sensem życia.

Może to, co czuł do Sophie, było reakcją na przemyślenia o sensie życia. Zdał sobie sprawę, że ciężka praca, gonitwa za pieniędzmi i sukcesy nie sprawiają radości, gdy jest się przeraźliwie samotnym. Może to było powodem, dla którego postanowił rozbić związek Scotta. Nie chciał zostać całkiem sam. Do tej pory otaczały go kobiety, które były z nim dla pieniędzy. Kiedy poznał Sophie, zrozumiał od razu, że jest inna, bardziej naturalna, a przede wszystkim szczerą. Poza tym niezależna, aktywna, lojalna wobec tych, których kochała. Dobrze się czuła w swojej skórze.

- Wielka szkoda, bo mam przeczucie, że moglibyśmy przeżyć wspólnie coś szczególnego.

Co też Gibb miał na myśli? Niezwykły seks? A może coś zupełnie innego?

Sophie leżała na kocu i wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo. Ognisko zamieniło się w kupkę żaru i popiołu. Dotknęła swoich ust. Gibb potrafił całować, to pewne. Nie powinna była odwzajemniać pocałunków, tle stało się. I wcale nie żałowała.

Gdyby robił to gorzej, nie rozpamiętywała namiętnych chwil. Spojrzała na Gibba. Miał zamknięte oczy, spokojnie, równo oddychał. Spał?

O czym myślał wtedy? Pragnęli się oboje, to pewne, ale zdawało jej się, że było pomiędzy nimi coś więcej. Coś głębszego, bardziej tajemniczego niż zwykle pożądanie. Nie nazwałaby tego przyjaźnią, to słowo bardziej oddawało charakter jej związku z Emi-

liem. Gibb przyprawiał ją o uderzenia gorąca, ataki duszności i zawroty głowy. Tak, to wszystko było nadzwyczaj skomplikowane.

Spędzili razem zaledwie dwanaście godzin. Jakie uczucie może się rozwinąć w tak krótkim czasie? Owszem, obserwowali się od dwóch tygodni. Może i skrycie flirtowali. Rzucali sobie przeciągłe spojrzenia i dwuznaczne uśmiechy, ale nic więcej. Dopiero dzisiejszy dzień wszystko zmienił.

A może wszystko przez awaryjne lądowanie? Niebezpieczne sytuacje zbliżają ludzi. Byli zależni jedno od drugiego. W innych okolicznościach taka więź między nimi byłaby raczej niemożliwa.

Dlaczego pozwoliła się pocałować? Wystarczyło przecież jedno stanowcze „nie”, mały gest, żeby powstrzymać Gibba. Problem w tym, że chciała zakosztować namiętnej miłości. Na samą myśl o tym, co by było, gdyby ulegli pokusie, westchnęła.

Kiedy podeszła do Gibba na plaży, gdy wpatrywał się w morze, chciała tylko przeprosić za niewyparzony język. Bała się, że go uraziła. Jednak kiedy dostrzegła blask w jego oczach, wiedziała, że to nie złość. Złośliwością pokrywał pożądanie, to pewne.

Byli sobą zainteresowani. To, że wylądowali na bezludnej wyspie, rozluźniło gorset zasad, które trzymały ich w ryzach do tej pory. Musiała też przyznać, że przez cały dzień prowokowała Gibba. Skoro nie wyznaczyła między nimi granicy, skorzystał z okazji i pozwolił dojść do głosu emocjom.

A gdyby została jego dziewczyną? Całował tak wspaniale, że można sobie wyobrazić, jakim byłby kochankiem. Ile mógłby ją nauczyć! Jakie granice próbowaliby razem przekroczyć!

Przestań, nakazywała sobie w myślach, dość tych mrzonek. To milioner! A kim była ona? Pilotką z dziczy. Całowanie się z Gibbem najwyraźniej zmaćło jej umysł. A z drugiej strony co w tym dziwnego? Czy kiedykolwiek ktoś ją tak cudownie całował? Na pewno nie Emilio.

Gwiazdy mrugały do niej wesoło. Która była jej? Nagle nade wszystko zapragnęła, żeby to, co działo się między nią a Gibbem, nie skończyło się na jednym pocałunku.

Mogliby utknąć na wyspie przez tydzień. Hipnotyzujący ocean, słodki zapach barwnych kwiatów. Nie utrzymaliby rąk przy sobie, nie ma mowy.

Pierwsze promienie słoneczne obudziły Sophie o świcie. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Mrużąc oczy, podniosła się, odgarnęła włosy z twarzy. Rozejrzała się wokół i wszystko jej się przypomniało. Wypadek, wczorajszy wieczór, pocałunki. Wszystko.

Ale teraz była sama. Dokąd poszedł Gibb?

Podierała się na nogi w stanie lekkiego podenerwowania, ale jeszcze nie paniki. Włożyła buty i ruszyła na poszukiwania.

Ślady stóp na piasku prowadziły w kierunku lasu i znikwały między drzewami. Udała się w tamtą stronę, mijając palmy kokosowe, bananowce, paprocie, kolorowe bromelie. Im bardziej zapuszczała się w głąb, tym gęściej wszystko rosło. Mangowce z apetycznymi owocami, za nimi puchowce wznoszące się strzeliście do nieba, dalej tropikalna odmiana fig z korzeniami oplatającymi pień drzewa, czy wreszcie intensywnie pachnące eukaliptusy. Mchy i porosty pokrywały skały, tworząc zielony dywan.

Dżungla żyła, poruszała się. Kolorowe ptaki wyśpiewywały trele wśród drzew. Sophie dostrzegła niebiesko-szarego tanagra, parę szkarłatnych papużek i białoskrzydłych gołębi. Stado kolibrów przenosiło się z kwiatka na kwiatek. Miały w czym wybierać, rosły tu helikonie, etlingery, passiflory i bugenwille. W powietrzu wirowały różnobarwne motyle. Z liścia bananowca spoglądała na nią czerwonoooka żaba, a niewielka salamandra przemknęła tuż przy stopach Sophie.

Sophie wstrzymała oddech. Ależ tu pięknie! Rajska wyspa mogła konkurować z Kostaryką pod względem urody. Na moment zatęskniła za domem, ale po chwili jej uwagę przykuł intensywny szum wody. Wodospad!

Skierowała kroki w tamtym kierunku. Może Gibb poszedł do lasu, żeby znaleźć coś do jedzenia? Usłyszał wodospad i pomyślał, że przyda im się świeża woda. A nawet jeśli nie, jej na pewno dobrze zrobi zimny prysznic. Włosy i ubranie przesiąkły zapachem dymu z ogniska.

Mozolnie przebijała się przez zarośla. Mieszkała w Kordylierach, przywykła do wilgotnego powietrza, ale tam nie było takich upałów. Tutaj pocila się jak mysz, a dzień się dopiero zaczął. Pocieszała się, że zaraz znajdzie wodospad, wysepka była przecież mała.

Zrobiła krótki postój, zerwała dojrzały banan i zjadła z apetytem. Potem ruszyła dalej, odgłosy wodospadu stawały się coraz głośniejsze. Musiała jeszcze wyminąć figowiec, przedrzeć się przez wyższe od niej paprocie i wreszcie była u celu!

I niespodzianka, miejsce pod prysznicem, na który miała taką ochotę, było zajęte. W strugach wody stał golusieńki Gibb. Było na co popatrzeć. Sophie zastygła z otwartą buzią.

Stał teraz odwrócony do niej tyłem. Miał szerokie plecy, wąskie biodra i pięknie ukształtowane mięśnie.

Przykucnęła, żeby jej nie dostrzegł. Miała zamiar jeszcze przez chwilę nacieszyć się jego widokiem. Właśnie nieco się obrócił i mogła podziwiać jego tors. Musiał dużo czasu spędzać na siłowni. Krzepkie ciało Gibba przypominało skałę. Puls Sophie przyspieszył. Zadrzała.

Odrobinę zawstydzona podglądaniem, ale też podniecona, przygryzła dolną wargę. Westchnęła ciężko. To ciało było jak dzieło sztuki, miała ochotę wycalować je od góry do dołu.

Ukradkiem podchodziła coraz bliżej Gibba. Chcę go dotknąć, pogłaskać, smakować, myślała, i chcę, żeby on zrobił to samo ze mną.

Była już blisko, dostrzegła jego schludnie złożone na skale ubranie. Przez moment miała ochotę je schować. Wróciła jednak do obserwacji. Zafascynowana nie mogła odebrać od Gibba oczu.

O nie, musi stąd iść, zanim ją zobaczy!

I w tym momencie Gibb zrobił coś, czego się nie spodziewała. Dotknął się tam, gdzie ona miała ochotę go dotykać. Patrzyła jak zahipnotyzowana. Nie ruszy się z tego miejsca, choćby od tego miało zależeć jej życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kojący strumień wody oblewał ciało. Gibb zaciskał zęby i walczył z naturą, żeby nie zrobić tego, na co tak bardzo miał ochotę. Nocą nie zmrużył oka. Mając Sophie tuż obok, myślał wyłącznie o jej pięknym ciele. Chciał się z nią kochać na plaży, dotykać jej, całować ją.

Gdy nie mógł już tego dłużej znieść, wstał przed świtem i poszedł do lasu. Usłyszał szum wody. Po niedługim czasie zobaczył wodospad i uznał, że chłodny prysznic to najlepsze lekarstwo na jego troski. Choć przyjemniej byłoby brać go z Sophie, a jeszcze bardziej robić z nią co innego.

Wspomnienie jej piersi, gładkiej skóry i ciemnych oczu nie dawało mu spokoju. Czuł się jak zaczarowany.

Miał też pewien problem natury moralnej. Do tej pory nigdy nie zaczął nowego związku, zanim nie zakończył poprzedniego. Lubił ryzyko i wyzwania, ale nic był krętaczem. Ojczym może nie potrafił okazywać uczuć, jednak wpoił mu pewne zasady. Dla niego honor i uczciwość nie były jedynie pustymi słowami.

Może wpadł w romantyczny nastrój po rozmowie ze Scottem? Może to potrzeba bliskości, sprzeciw wobec samotnego życia, natłok emocji.

Bzdura, po co się oszukiwać? Sophie spodobałaby mu się w każdej sytuacji, w każdym miejscu, w dowolnym czasie. Przykuwała uwagę, miała wdzięk, była seksowna. Takiej dziewczyny szukał przez całe życie, choć wcześniej nie umiałby opisać swojego ideału. Jeśli zacznie się nią poważnie interesować, nie będzie chciał się z nią rozstać. Ona zmieni go na sto różnych sposobów.

Ale przecież to będzie zmiana na lepsze, więc czego się boi? Miłości.

Kiedy widział Sophie, serce zaczynało mu bić szybciej. Nie znał jej, ale chciał poznać, dowiedzieć się o niej wszystkiego.

Zaczął się pieścić, wyobrażając sobie, że to Sophie delikatnie przesuwając dłoń po jego członku. On zaś obejmuje jej piersi i patrzy, jak ścieka po nich woda.

Chciał lizać jej szyję, drażnić językiem sutki, patrzeć, jak twardnieją. Objąć dłońmi piersi, poczuć, jak bije jej serce. Zupełnie tracił kontrolę nad sobą, ale nagle przestało mu to przeszkadzać.

Wyobraźnia podsuwała nowe, fascynujące obrazy. Prawie słyszał, jak Sophie prosi: Weź mnie, Gibb, teraz, zaraz. Bogini o kruczoczarnych włosach i brązowych, lśniących oczach...

Napiął mięśnie, zapamiętał się w pieszczocie. Przesuwał dłonią po członku coraz szybciej i mocniej. Zaczął powtarzać imię Sophie i nie mógł przestać.

Sophie przyglądała mu się zauroczona i coraz bardziej podniecona. Wiedziała, że nie powinna go podglądać, ale nie była w stanie się poruszyć, a nawet odwrócić wzroku.

Rozpięła szorty, wsunęła dłoń pomiędzy uda i zaczęła drażnić lechtaczkę. Musiała jakoś rozładować napięcie i narastające pożądanie.

Jeśli uda im się dzięki tym pieszczotom uspokoić nerwy, unikną wielu problemów. Obędzie się bez seksu i późniejszych wyrzutów sumienia. Tak, może się uda, o ile Gibb nie dowie się, że go obserwowała.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że to on pieści ją ustami. Poczowała rozkosz tak silną, że zaczęła jęczeć. Och, jak cudownie...

Och, Gibb...

Patrzyła półprzytomnym wzrokiem na mężczyznę, który też bez reszty uległ rozkoszy, nadal nieświadomy jej obecności. Ciekawe, kto pierwszy skończy.

Nigdy przedtem masturbacja nie dała jej takiego poczucia wolności i spełnienia.

Co pomyślałby Gibb, gdyby ją teraz zobaczył? Uznałby to za seksowne? Poczulby się zakłopotany lub nawet zawstydzony? Oburzony, zgorszony?

Gibb przyspieszył ruch ręki, stojąc pod wodospadem, ona wsadziła palec głębiej i zatonała w swojej wilgoci. Miękko, ciepło, jęczała cicho i pragnęła męskiego ciała. Imiutowała jego ruchy na sobie, drażniła sutki, wariowała, wygięła ciało w łuk, aż ogarnęła ją kompletna ekstaza.

Nagle spokój. To już? Koniec?

Chwilę później przyszło rozczarowanie. To miało być lekarstwo na jej pożądanie? Zasunęła zamek w szortach. Dalej pragnęła Gibba, nawet jeszcze bardziej. Powinna była podejść do niego, gdy stał pod wodospadem, powinni zrobić to razem.

Teraz klęczał i odpoczywał po doznanej rokoszy, słyszała, jak wymawia jej imię. A więc myślał o niej, podobnie jak ona o nim. Chciała do niego podejść, pocałować go, powiedzieć, jakie to dla niej ważne, że go podniecała, ale zabrakło jej odwagi. Wycofała się szybko i cicho, licząc, że Gibb nie otworzy oczu i nie dostrzeże jej. Za chwilę zniknie przecież w gąszczu zieleni.

Czując mniejszą ulgę, niż się spodziewał, wrócił na plażę. Zastał Sophie zajętą reperowaniem linki sterowniczej. Stała z tyłu samolotu, narzędzia leżały obok.

- Dzień dobry! - zawołał.

Podskoczyła i spojrzała na niego z miną winowajczyni.

- Dzień dobry... - odpowiedziała niewyraźnie.

Oboje nie byli zbyt rozmowni, oboje wracali do niedawnych wydarzeń. Sophie kręciła się przy samolocie, miała zresztą dobry pretekst, stery trzeba było naprawdę naprawić. Gibb nie mógł od niej oderwać oczu, chodził za nią, zastanawiając się jednocześnie, co ją tak wyprowadziło z równowagi. Pamiętał przy tym o celu wyprawy. Scott nie przełożył terminu ślubu ze względu na niego. Potem musi bezpiecznie wrócić do Bosque de Los Dioses, nie ściągając na siebie uwagi konkurencji. Miał na głowie sporo kłopotów, ale i tak nieustannie wracał myślami do Sophie. Jeśli zostanie na wyspie dłużej, nic nie powstrzyma go przed uwiedzeniem jej. Jej urokowi i seksapilowi nie sposób się oprzeć. Jak długo można ukrywać pożądanie?

- Nazbierałem trochę owoców na śniadanie. - Wyjął ze zwiniętej marynarki i położył przed Sophie zdobycz: banany, mango, marakuje.

- Dzięki - odpowiedziała, pąsowiejąc.

Co się z nią, u diabła, dzieje? Rzucił w jej kierunku banan, złapała go. Oboje zaczęli jeść w milczeniu. Cisza stawała się krępująca. Nie byli znudzonym małżeństwem z wieloletnim stażem ani romantyczną parą, która nie potrzebuje słów, żeby wyrazić uczucia. Między nimi panowało irytujące seksualne napięcie, z którym nie umieli sobie poradzić.

W dodatku oboje zdawali sobie sprawę, co się dzieje. Byli jak zapałka i draska, wcześniej czy później musieli wywołać ogień. Im szybciej opuszczą wyspę, tym lepiej.

- Tak więc - odezwali się jednocześnie.

- Ty pierwsza, proszę - powiedział Gibb.

- Nic ważnego. A co tobie chodziło po głowie?

- Też nic epokowego. Może tylko, że byłoby fajnie, gdybyśmy powiedzieli, co myślimy naprawdę.

- Ooo, w takim razie ustępuję ci miejsca, zacznij pierwszy.

Chyba nie o to mu chodziło.

- Tak się zastanawiam, czy dasz sobie radę z naprawą steru.

- Na tyle, by dotrzeć do Island de Providencia, jednak pod warunkiem że znajdziesz coś, co mogłoby służyć jako nasadka.

- Nasadka do czego?

- To takie cylindryczne połączenie, którym można zabezpieczyć przewód.

- Coś jak napałek krawiecki?

- Oj, najwyraźniej są dziedziny, na których się nie znasz.

- Przyznaję bez bicia, że jeśli chodzi o naprawy wszelkich urządzeń mechanicznych, mam dwie lewe ręce i zerową wiedzę.

- „Napałek”, o którym mówię, to jakby metalowy rękaw, który wsuwamy na miejsce złączenia linek, żeby je chronić. Bez tego daleko nie dolecimy.

- Masz w samolocie coś, z czego dałoby się zrobić nasadkę?

- Niestety nie wożę ze sobą całego warsztatu, ale przejrzałam dokładnie, co mam na pokładzie, i zaraz okaże się, na ile jestem kreatywna.

Zaczęła obierać banana ze skórki. Robiła to powoli i delikatnie, a on nie mógł odebrać wzroku od jej palców. Czy z takim samym wyczuciem dotykałaby...

Wyluzuj, Martin, przestań z tymi skojarzeniami. To robi się nudne i męczące.

Właśnie odgryzła koniuszek banana.

Gibb chwycił dojrzałe mango, wytarł je o rękaw koszuli i wbił zęby w owoc. Słodki sok pociekł mu po brodzie. Sophie szybko wyjęła z kieszeni chusteczkę i pochyliła się, żeby wytrzeć Gibbowi twarz.

- Dzięki - odpowiedział nieco szorstko. Zakłopotany i zaskoczony czułym gestem poczuł, że znowu ma wzwód. Co ona z nim wyrabia? Jakaś magia czy co?

Sophie podała mu chusteczkę i cofnęła się. Po raz kolejny zapadła cisza.

- Może masz ochotę zobaczyć zerwany przewód? - zaproponowała, żeby coś powiedzieć.

Jak gdyby mógł być w czymkolwiek pomocny, pomyślał. Z drugiej strony lepiej mieć cokolwiek do roboty, niż myśleć o głupotach.

- Tak, oczywiście.

Zaprowadziła go na tył samolotu i pokazała rozerwaną linkę sterowniczą. Gibb nie miał pojęcia, jak Sophie uda się to połączyć, choćby prowizorycznie. Jeśli do tej pory nie tracił nadziei i optymizmu, to teraz z kolei popadł w czarną rozpacz.

Nie panikuj, nakazał sobie stanowczo. Scott żeni się w sobotę, dzisiaj jest dopiero czwartek rano. Wciąż masz szansę. Więcej wiary. No właśnie, tak trzymać.

- Co chcesz z tym zrobić?

- Zaraz ci pokażę. - Znalazła patyk i zaczęła nim rysować po piachu, żeby wytłumaczyć Gibbowi, jak naprawi przewód, jeśli uda jej się zrobić nasadkę. Ale musiał to być taki metal, który da się odkształcić młotkiem lub obcęgami, a jednocześnie na tyle wytrzymały, żeby stanowił skuteczną osłonę. Chyba nie miała nic takiego na pokładzie.

Gibb chciał jeszcze raz zerknąć na przewód, ale pochylił się i machnął przy tym łokciem tak niefortunnie, że uderzył Sophie w pierś. Oboje odskoczyli jednocześnie.

- Przepraszam bardzo, nie chciałem.

- Mam taką nadzieję.

- Uwierz, nie zamierzałem dotykać twoich piersi.

- Teraz tylko pogarszasz sprawę.

- O co ci chodzi?

Spojrzała na niego spod rzęs i uśmiechnęła się z zażenowaniem. Nagle przemknęło mu przez głowę, że może widziała go dzisiaj pod wodospadem. Momentalnie poczerwieniał i zwilżył nerwowo wargi. Odwrócił się od niej.

- Samolot.

- Co? - Zamrugnął powiekami.

- Nad nami leci samolot. Ich oczy spotkały się.

- Radio! - zakrzyknęli jednym głosem. Już drugi raz mówią jednocześnie to samo.

Jakaś epidemia?

Rzucili się do kokpitu, w tej samej chwili dotknęli uchwyty u drzwi, w tej samej sekundzie odskoczyli jak oparzeni.

- Odsuń się - krzyknęła Sophie.

Tak jest, proszę pani, pomyślał zgryźliwie. Posłuchał, chociaż nie przywykł, by mu rozkazywano. Puścił ją przodem i pozwolił grać pierwsze skrzypce. To w końcu były jej samolot i jej radio.

Szarpnęła drzwiczki, wskoczyła do środka i założyła słuchawki. Zaczęła majstrować przy gałce, żeby złapać fale, na których odbierało radio przelatującego nad nimi samolotu.

- Do diabła! Oni mają chyba wyłączone radio. Gibb złapał się za głowę. Widział, jak Sophie wyrzuca z siebie informacje w nadziei, że jednak tamci piloci coś usłyszą. Przez kilka minut wzywała pomocy, wreszcie sfrustrowana zerwała słuchawki z głowy i wypadła jak burza z samolotu. Dobięła do plaży i zaczęła wpatrywać się w morze.

- Co się stało?

- Nie słyszeli mnie, a ja ich bardzo słabo. Mamy najwyraźniej popsute radio, a to nasza jedyna szansa na ratunek. Jeśli go nie naprawimy, nie wydostaniemy się z wyspy.

- Nie przejmuj się, coś wymyślimy - próbował ją uspokoić i pocieszyć. - To nie w porządku. Nawaliłam, miałam dowieźć cię do Key West, a raczej nie dam rady.

- Sophie, takie rzeczy się zdarzają, to nie twoja wina. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

- Nieprawda, to moja wina. Nie powinnam była przyjmować zlecenia. Przeceniłam możliwości El Diablo, od początku byłam tego świadoma, ale pieniądze, które mi zaofiarowałeś, i moje własne ego przeważały. Cholerne ambicje i zamiłowanie do ryzyka! Chciałam sprostać wyzwaniu, które okazało się za trudne, dlatego wpakowałam nas w kłopoty. Nie wyrosłam jeszcze z krótkich spodenek.

- Nawet ci w nich ładnie - zażartował Gibb, zerkając na jej nogi.

- Nie próbuj mnie pocieszać.

- A co, mam kopać leżącego? Naprawdę zrobiłaś, co w twojej mocy. Więcej się nie dało.

- Owszem. Mogłam zawrócić, kiedy tylko zobaczyłam cumulusy, a ja chciałam udowodnić... Co właściwie?

- Naciskałem, żebyś leciała dalej, pamiętasz?

- Ale to ja jestem pilotem, to ja podejmuję takie decyzje. Nie powinnam była cię słuchać.

- Jak widzę, odzywa się teraz amerykańska strona twojej natury.

- Co masz na myśli?

- Wymagasz od siebie za dużo i niesprawiedliwie się oceniasz.

- Mylisz się. Dobrze, powiem szczerze. Był trzeci powód, dla którego nie zawróciłam. Ty - Wiedziała, że przyznając to, wypływa na niebezpieczne wody.

- Ja? - Dostrzegła rozbawienie i zadowolenie w jego oczach.

- Chciałam spędzić z tobą więcej czasu.

- Naprawdę? - spytał, jakby jej nie wierzył.

Przytaknęła.

- Twoja obecność sprawiała mi przyjemność od pierwszej chwili, gdy cię poznałam na lotnisku w Liberze. Wiedziałam, że masz dziewczynę, a mimo to obserwowałam cię. Byłam nierozsądna. Wczoraj w nocy chciałam, żebyś mnie całował, chciałam nawet więcej...

- Naprawdę?

- Tak. Jestem okropna, pragnę mężczyzny, którego nie mogę mieć.

- Nie jesteś okropna, tylko bystra, zabawna, pogodna i uczciwa.

- Teraz to naprawdę mnie pocieszasz. - Hm, nie zaprzeczył, gdy stwierdziła, że nie może go mieć. Trochę to frustrujące.

- W pocieszaniu nie ma nic złego. Zwłaszcza gdy nie kłamiemy. Wszystko, co o tobie powiedziałem, jest prawdą.

- Ale to mnie tak frustruje. - Sophie westchnęła przeciągle.

- To znaczy, co konkretnie? Problemy z samolotem czy to, co czujesz do mnie?

- I jedno, i drugie.

- Spójrz na to z innej perspektywy. Chciałaś spędzić ze mną więcej czasu, no i proszę, stało się. Gdybyśmy dolecieli bez przeszkód do Key West, nic by z tego nie wyszło.

- Nie do wiary, że rozmawiamy w ten sposób.

- Czemu?

- Bo to ja powinnam wykręcać się od odpowiedzialności, a ty mnie atakować. Najwyraźniej role się odwróciły.

- Dzieje się tak, ponieważ stanowimy drużynę. Dbamy o równowagę. Kiedy nie masz humoru, próbuję ci go poprawić. A kiedy zadzierasz nosa, ja cię temperuję. Ty postępujesz tak samo.

To, co powiedział, spodobało się Sophie. Nie mogła dłużej się złościć, uśmiechnęła się.

- Co zatem proponujesz? Rozłupać kilka kokosów, położyć się na plaży i czekać, aż ktoś zauważy nasze zniknięcie i przyśle pomoc?

- Nie planowałem wakacji, ale skoro już tu jesteśmy, możemy wykorzystać ten czas jak najlepiej.

- Nie do wiary, i kto to mówi? Pan Martin zrobił woltę o sto osiemdziesiąt stopni.

- To taki mój sposób na radzenie sobie w trudnej sytuacji.

Była w tym logika, choć pokrętna.

- Twoja blondyneczka niekoniecznie zacznie cię od razu szukać, pamiętaj, że ma do dyspozycji kartę kredytową bez limitu.

- Ale rodzina pani pilot na pewno ogłosi alarm.

- Nawet nie chcę myśleć, jak bardzo będą się martwić. - Sophie od razu posmutniała.

- Zostawiłaś plan lotu, będą wiedzieć, gdzie nas szukać.

- Owszem, ale zmieniłam go, kiedy na drodze pojawiły się cumulusy, więc ktośkolwiek będzie nas poszukiwał, to chwilę potrwa, zanim nas znajdzie.

- Jestem wpływowym człowiekiem, postarają się. - Nie były to przechwałki, jedynie stwierdzenie faktu.

- A co z twoim przyjacielem i jego ślubem?

- Cóż, muszę się pogodzić ze zrządem losu. Widocznie tak miało być. To życie Scotta, nie moje.

- Od kiedy masz takie filozoficzne nastawienie do życia?

- Twoja obecność najwyraźniej mnie uszlachetnia. Idziemy zerwać kokosy? - Puścił do niej oko.

Co za pokusa! W stylu kostarykańskim. Co ma być, to będzie, a ty się relaksuj. Sophie poczuła przyływ dumy, że ma swój udział w przemianie Gibba.

- Miła propozycja, ale muszę zająć się naprawą radia. Co za pech! Kabel przerwany, nie mamy łączności radiowej. A wszystko z powodu głupiego problemu z odrobiną wody w gaźniku.

- Co zamierzasz?

- Zacznę od radia. To prawdopodobnie jedyna realna szansa na ratunek. A potem spróbuję naprawić kabel.

- A gdybym chciał, żebyś spędziła ze mną trochę czasu, zapominając o naprawach?

- Nie uwierzyłabym w szczerść takich słów. W duchu powstrzymujesz się, żeby nie powiedzieć: rusz wreszcie cztery litery i z działaj coś.

- No dobrze, nie będę ci przeszkadzać, bo jesteś bardzo zdeterminowana. Zastanawiam się tylko, co ja mam robić przez ten czas.

- Spróbuj być pożyteczny.

- W jaki sposób?

- Idź na ryby. Została tylko jedna kiełbaska, możesz jej użyć jako przynęty.

- A jak mam to zrobić bez wędki?

- Zdaje mi się, że wymyśliłeś *Zimdiggy*?

- I co z tego?

- Użyj wyobraźni - poradziła i wspięła się do kokpitu, żeby zająć się radiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Użyj wyobraźni, dobre sobie. Gdyby Sophie wiedziała, do czego jest zdolna jego wyobraźnia, na pewno nie udzieliłaby mu takiej rady.

Zerknął na nią ukradkiem. Pochylona nad stacyjką, wyglądała bardzo apetycznie. Szybko odegnał niebezpieczne myśli. Powoli zbliżył się do samolotu. Nie łowił od lat, równie długo, jak nie rozpalał ogniska.

- Czy mogę pogrzebać w twojej torbie z zapasami?

- Grzeb sobie do woli - mruknęła, nawet na niego nie patrząc.

Zaczął szperać w płóciennych torbach i po chwili znalazł kostkę mydła. Szkoda, że nie dokonał tego odkrycia przed kąpielą pod wodospadem. W torbie były też flary, zapasowe baterie, torebka orzeszków ziemnych, cztery butelki wody, szwajcarski scyzoryk wojskowy, świeczki, zestaw do pierwszej pomocy i przybornik do szycia.

Doskonale! Skręci kilka nici, poleje woskiem ze świecy i tak powstanie żyłka, którą przywiąże do jakiegoś patyka. Na jej końcu umocuje haczyk zrobiony z zagiętej igły. I wędka gotowa. Z kiełbaski zrobi przynętę.

Po godzinie Gibb zarzucił wędkę w miejscu, gdzie dostrzegł przepływające ryby. Rozłożył się wygodnie na piasku. Gdyby mu ktoś dwa dni temu powiedział, że będzie łowił ryby na karaibskiej plaży własnoręcznie sporządzoną wędką, umarłby ze śmiechu. Teraz natomiast był niesłychanie dumny ze swojej kreatywności.

Nagle coś przesłoniło mu słońce. Spojrzał w górę i dostrzegł nad sobą Sophie.

- Co się stało?

- Jeśli masz zamiar wylegiwać się na plaży, to potrzebujesz go bardziej niż ja. - Rzuciła mu na głowę słomkowy kapelusz. Zapachniało słodko i kobieco jej perfumami. Spod nasuniętego ronda obserwował odchodzącą Sophie. Hm, ależ ta dziewczyna zmysłowo kołysze biodrami.

Uśmiechnął się i ułożył wygodnie. Zaczynał rozumieć, po co ludzie jeżdżą na wakacje. Musiał się przez chwilę zdrzemnąć, ale obudziło go delikatne szarpnięcie i zaraz potem naprężenie linki.

Coś się dobierało do kiełbaski! Podciął wędkę, oho, spory opór, zatem ryba musiała być duża. Może zerwać linkę!

- Sophie! Sophie!

Wysunęła głowę z samolotu.

- Co się stało?

- Złapałem rybę. - Tak dawno nie łowił, że nie pamiętał, co powinien teraz zrobić.

- Świetnie, pociągnij do siebie.

- Boję się, że się zerwie.

- To wejdź do wody i ją złap. Nie łowisz na głębinie. Kurczę, nie pomyślał o tym.

Zatknął kij w piasek, podwinął nogawki garnituru.

Kiedy chciał ponownie chwycić wędkę, już jej nie było. Ryba wciągała ją właśnie do morza.

- Hej! Wracaj tutaj! - Gibb rzucił się do wody i w ostatniej chwili udało mu się złapać koniec patyka. Ale ryba szarpnęła po raz kolejny, a on wylądował twarzą w wodzie. Podniósł się, prychając, ale zdołał utrzymać wędkę. - Niedoczekanie twoje, nie puszczę!

Walczył kilka minut, ale w końcu udało mu się wyciągnąć rybę na brzeg. Miała dobrych pięć kilo. Gdy wziął ją w ręce, poczuł się równie dumny, jak w chwilach największych sukcesów biznesowych.

- Kobieto!

Sophie wychyliła głowę.

- Czemu się wydzierasz?

- Twój mężczyzna wraca z wyżerką! - Dla lepszego efektu zaczął pomrukiwać jak jaskiniowiec.

Uśmiechnęła się, mrużąc oczy.

- Wyglądasz jak dwunastolatek.

- Ależ to była walka. Niesamowite! - Solidna dawka endorfin nakręciła go niczym striptiz w Las Vegas. Był mokry, trząsł się mimo upału, ale promieniał zadowoleniem. -

Co to za ryba?

- Żuchwik.

- Jadalny?

- Przepyszny.

- No proszę, udało mi się!

- Lubię, jak tak się zachowujesz. - Przekrzywiła głowę i przypatrywała mu się z uwagą, a on pod wpływem tego spojrzenia poczuł, że życie ma sens. W jej wzroku zobaczył pożądanie, ale też czułość.

Ślicznie wyglądała z burzą czarnych włosów, które lśniły w słońcu. Gibba wypełniały strach i ciekawość. Faceci nie lubią takich sytuacji. Przez moment miał ochotę uciec, ale nie było dokąd. Istne wariactwo, bo uczucia skutecznie wymykały się spod kontroli.

Ciemne lśniące oczy, jędrne piersi, karmelowy odcień skóry, apetyczny brzusek, to wszystko działało na jego zmysły, ale niepokoiło go coś zupełnie innego. Tęsknił za nią. Rozstali się na krótko, ale gdy łowił ryby, cały czas o niej myślał. Co się stało podczas tych ostatnich godzin? Które z nich się zmieniło? A może oboje?

- Sophie...

- Tak?

- Wyglądasz jak... - Zabrakło mu słów.

Milczał i wpatrywał się w nią. Bosonogą, ze stopami zanurzonymi w piasku.

- O co chodzi? Coś mi się przykleiło do twarzy? - Dotknęła policzka.

Otworzył usta, by powiedzieć, że jest najwspanialszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał, ale nie padło z nich żadne słowo. Stał jak słup soli. I gdyby złowiona ryba nie zaczęła się rzucać na piasku, mógłby tak stać i patrzeć na Sophie do końca życia.

- Jesteś cały mokry. Rozbierz się.

- Cco...? - wydukał.

- Zdejmij ubranie. Jeśli tego nie zrobisz, przeziębisz się.

- Mam się rozebrać do rosołu?

- Hm, może zostać w majtkach. Resztę rzeczy rozwieszę na skrzydle samolotu, szybko wyschną.

- A co mam zrobić z rybą?

- Daj mi ją i wyskakuj z ciuchów.

- Tak jest, proszę pani.

Patrzyła na niego z zainteresowaniem, gdy się rozbierał. Sięgnęła palcami koszuli, chcąc rozpiąć guziki.

- Jestem łatwą zdobyczą - zażartował i zanucił coś pod nosem.

Odwróciła głowę, ale tylko na chwilę. Kiedy - zdjął koszulę, zadrżała, ale tym razem nie z podniecenia.

- Masz bliznę na piersi, co się stało?

- Dawno temu ukłuła mnie ogończa.

- O Boże, jak Steve'a Irwina. Gdzie to było?

- Dziesięć lat temu nurkowałem na Wielkiej Rafie Koralowej ze Scottem. To jemu zawdzięczam ocalenie.

- Tym Scottem, któremu chcesz popsuć wesele?

- Tak. Gdyby mnie nie powstrzymał, wyrwałbym kolec, to naturalny odruch. Pracuje w straży nadbrzeżnej, przeszedł szkolenie medyczne, więc wiedział, co robić.

- Ocalił ciebie i teraz sądzisz, że nadeszła twoja kolej, aby ocalić jego.

- Małżeństwo nie jest sprawą życia i śmierci, ale chcę być pewien, że wybrał dobrze.

Zaczął rozpinąć zamek od spodni. Wzrok Sophie powędrował za jego dłońmi. Wiadać było dość mocne wybrzuszenie, miał erekcję, a więc pragnął jej.

- Pospiesz się - rzuciła nieco chrapliwym głosem. - Nie będę sterczeć tu cały dzień.

- A możesz jeszcze chwilę poczekać? Pomóż mi, muszę się na tobie oprzeć. Mokre spodnie przylegają do ciała i trudno je ściągnąć.

- Zauważyłam...

- Wiesz, to przypomina scenę z sitcomu.

- Na przykład z *Wyspy Gilligana*.

- Mogę grać profesora - odpowiedział.

- Przypominasz raczej Thurstona Howella III.

- Ej! Nie jestem taki stary.

- Okej, może jesteś młodszy, ale macie ten sam cel w życiu: pieniądze, pieniądze, pieniądze. I jednakowe upodobanie do wytwornych ubrań.

- Stereotypowe myślenie. - Tyle że miał na sobie jedwabne bokserki za sto dolarów, więc niewiele się pomyliła.

- Ciesz się, że nie porównałam cię do Gilligana albo Skippera.

- Au, to zabolalo.

- A kogo ja mogłabym zagrać? Mary Ann czy Ginger?

- Zdecydowanie Mary Ann. Drobna, energiczna brunetka, rola w sam raz dla ciebie. - Rzucił spodnie na koszulę, odebrał z rąk Sophie rybę.

- Czemu nie Ginger?

Dlaczego Sophie wolałaby grać rolę hollywoodzkiego wampa, a nie dziewczyny z charakterem?

- Ginger była ruda.

- To nieważne. A gdyby Ginger była brunetką, pasowałabym do roli?

- Była dużo wyższa od ciebie.

- Czy ty się ze mną przypadkiem nie drażnisz? Co ma do tego wzrost? Chciałabym być tak seksowna jak ona.

- Wierz mi, kochanie, jesteś bardzo seksowna.

- Twoja blondyneczka bardziej pasowałaby do tej roli.

- Tak, rzeczywiście, Stacy to idealna Ginger.

- No widzisz, wolisz Ginger od Mary Ann.

- Czy ja coś takiego powiedziałem?

- To czemu spotykasz się ze Stacy?

- Zdaje mi się, że jesteś odrobinę zazdrosna. Zmierzwiała ręką włosy.

- Chciałabym być wysoka i ponętna.

- Nie zrozum mnie źle. Ginger jest bardzo atrakcyjna, ale Mary Ann to kobieta na każdą pogodę, można z nią konie kraść.

- Mam szukać koni na wyspie? - Sophie wyglądała na zadowoloną.

- Może kiedy indziej.

- Świetnie. Oporządź rybę, a ja rozwieszę ciuchy.

- Rozsądny przydział ról.

Gibb patrzył za odchodzącą dziewczyną i pomyślał, że jest o wiele bardziej seksowna od Ginger i Mary Ann razem wziętych.

- Jesteś świetnym kucharzem - obwieściła Sophie, zając się rybą z mango.

Gibb siedział naprzeciwko niej w czarnych jedwabnych bokserkach. Zerknął na niego ukradkiem.

- Hmm... pyszności.

- Mam wiele zalet.

Skromność raczej do nich nie należała. Puścił do niej oko.

Czuła się pobudzona, nie wytrzymywała jego spojrzenia. Cokolwiek robiła, żeby rozładować napięcie, nie udawało się, sprawy między nimi nabierały tempa. Nie bez znaczenia było, że Gibb siedział przed nią niemalże nagi. Patrzyła na jego umięśniony, opalony tors i miała ochotę polizać bliznę.

- Zreperowałam radio.

- Świetnie. - Gibbowi wyjaśniały oczy. - Wiedziałem, że sobie poradzisz. A co było nie tak?

- Kabel w środku pogał się podczas lądowania. Rozmontowałam radio, sama naprawa zajęła mi chwilę. Jeśli przeleci nad nami jakiś samolot, będziemy mogli nawiązać łączność.

- Krok we właściwym kierunku.

- Teraz powinnam zająć się sterem.

- Dasz radę jeszcze dzisiaj, nie będzie za ciemno?

Dochodziła trzecia. Nie minęła jeszcze doba od ich awaryjnego lądowania.

- To nie problem, rozpalimy ognisko. Gorzej, że wciąż nie mamy nasadki. Gdybyśmy znaleźli jakiś kawałek łańcucha. - Sophie myślała intensywnie. Wydawało jej się, że widziała gdzieś coś takiego.

- Sophie?

- Mam! - Aż podskoczyła.

- Co?

- Twoja bransoletka byłaby w sam raz. Gdzie ją położyłeś?

Z platynowego łańcuszka Gibba można by wyjąć dwa ogniwa, wsunąć w nie przewody i połączyć. Po takiej doraźnej naprawie powinni dolecieć przynajmniej do Island de Providencia. Oczywiście w ten sposób zniszczyłaby drogą bransoletkę Gibba.

Gibb dotknął nadgarstka i zaklął siarczyście.

- Wczoraj wieczorem na pewno ją miałeś, może zsunęła się, gdy mocowałeś się z rybą?

- Nie. Zdjąłem ją rano przed kąpielą pod wodospadem. Musi gdzieś tam być.

- Chodźmy jej zatem poszukać. - Rzuciła się pierwsza w kierunku lasu, ale zaraz zwolniła kroku, nie miała zamiaru zdradzać, że już tam dzisiaj była i widziała scenę, której raczej nie powinna oglądać.

- Którędy? - zapytała.

- Chodź za mną.

Była niebezpiecznie blisko, mogłaby pogłodzić jego gołe plecy. Szła ze spuszczoną głową, milcząca, ale wewnętrznie rozdygotana. Na szczęście leśna ścieżka była zbyt wąska, żeby iść ramię w ramię, więc nie widział jej miny. Po jakimś czasie usłyszeli szum wody.

I dobrze, bo nie mogła oderwać wzroku od pośladków Gibba. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna tak fantazjować. Kobieta taka jak ona nie ma prawa być z mężczyzną takim jak Gibb na bezludnej, rajskiej wyspie. Gdyby nie przymusowe lądowanie, z którego na szczęście wyszli cało, ta sytuacja w ogóle nie miałaby miejsca.

Promienie popołudniowego słońca prześwitywały przez gęstwinę zieleni, tworząc piękną poświatę. Gibb odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Podała mu z lękiem swoją dłoń, ich palce splotły się. Pewny, ciepły uścisk. Nagle poczuła się bezpiecznie. To był czysty surrealizm. Bajka.

Skupiaj się na tym, co robisz. Znajdźcie bransoletkę, wracaj od razu do samolotu, zreperuj przewód najszybciej, jak potrafisz. Może uda się wam opuścić wyspę przed zachodem słońca.

Zanim ulegnie pokusie.

Oddychała ciężko, powietrze z lasie, było wyjątkowo wilgotne. Miała wrażenie, jakby kroczyli przez gorącą wodę. W pewnej chwili Gibb rozgarnął liście i przed nimi rozpostarł się widok na skąpany w słońcu wodospad. Wokół fruwały kolorowe ptaki, barwna tęcza okalała wodę. Tutaj powietrze było nieco chłodniejsze. Sophie popatrzyła w kierunku skały, na której rano Gibb położył ubranie.

Ścisnął mocniej jej dłoń. Czyżby również przypomniał sobie, co tu się działo rano? Pragnęła, by ją pocałował.

Zamiast tego Gibb zatrzymał się i spojrzał na nią badawczo.

Dostrzegła błysk platyny na skale.

- Tam jest! - wykrzyknęła i poczuła słony smak rozczarowania w ustach. Czyżby chciała, aby bransoletka się nie odnalazła? A może nie tak szybko? Odrzuciła takie myśli. W żadnym wypadku. Była gotowa opuścić wyspę choćby zaraz.

- Gdzie?

- Tam, patrz!

- Nie widzę.

Nagle, zanim Gibb zdołał dostrzec zgubę, coś się gwałtownie poruszyło wśród zieleni i za moment bransoletka znikła. Czarna małpa, przeskakując z liany na lianę, uciekała ze swoją zdobyczą.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Łap ją - krzyknęła Sophie.

Niepotrzebnie, bowiem Gibb już rzucił się w pogoń.

Małpa głośno pohukiwała, najwyraźniej uradowana zamieszaniem.

- Wracaj! - ryknął Gibb.

Winowajczynie, szczerząc zęby w uśmiechu, bujała się najwyżej metr nad głową bezradnego i wściekłego mężczyzny. Daremnie podskakiwał, łańcuszek był poza jego zasięgiem.

Małpa bujała się jeszcze przez chwilę nad nimi, po czym przepadła wśród listowia.

- Cholera - zaklął Gibb.

Sophie zachichotała.

- To wcale nie jest śmieszne. - Spojrzał na nią spode łba.

Przytknęła dłoń do ust, żeby zapanować nad śmiechem.

- Sytuacja może nie jest zabawna, ale ty przeklinający małpę, owszem.

- Miło mi, że cię rozbawiłem.

- A jak podskakiwałeś, to twoje, hmm... klejnoty również.

Gibb odruchowo zasłonił się ręką.

- Nie powinnaś była patrzeć.

- A jaka kobieta powstrzymałaby się od zerkania na takie piękne ciało? - spytała ze złośliwym uśmiechem.

Postanowił odpłacić jej pięknym za nadobne. Spojrzał na nią tak, że poczuła się goła. Pierwsza odwróciła wzrok. Wysunęła się naprzód i rozgarnęła liście.

- Dalej! - rzuciła.

- Oprzytomnij, nie damy rady jej złapać.

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem optymistką.

- Ja też, ale małpy nie złapiemy.

Mogli ją za to usłyszeć, jak, schowana w gąszczu gdzieś nad nimi, pohukiwała w najlepsze.

- Śmieje się z nas - powiedziała Sophie, ruszyła do przodu i za moment przepadła wśród bujnej zieleni.

- Hej, zaczekaj! - Gibb popędził za nią.

Niechcący nadepnął na zgniły owoc mango. Zły, wytarł stopę o mech porastający korzeń drzewa. Czuł się, jakby wpatrywało się w niego sto par oczu i planowało smaczny posiłek. Stanowczo tropikalna dżungla to nie jego świat. Sophie czuła się tu o wiele lepiej.

Platynowa bransoletka kosztowała pięć tysięcy dolarów, ale to nie stanowiło problemu. Ważniejsze, że była pamiątką, która łączyła go ze Scottem i przypominała o tym, co wydarzyło się w Australii.

Z jednej strony piekielna dżungla z małpą złodziejką, a z drugiej tęcza, wodospad, łowienie ryb i wieczór przy ognisku. Trzeba przyjmować wszystko, i dobre, i złe, z dobrodziejstwem inwentarza.

Skierował się tam, gdzie dostrzegł poruszające się liście. Liany i gałęzie raniły mu skórę, żałował, że nie ma nic na sobie z wyjątkiem jedwabnych bokserów i mokasynów od Gucciego. Nastąpił na powalone drzewo, żeby ominąć kopiec pełen wielkich, czarnych mrówek. Stawiał ostrożne kroki po miękkiej ziemi, mimo to omal nie wpakował się na długiego zielonego węża, który kolorem wtapiał się w otoczenie. Na szczęście Gibb w porę go dostrzegł. Przestraszony odskoczył na bok.

- Sophie? - Gdzie ona przepadła?

- Sss... - uciszyła go.

Krok po kroku zbliżał się do niej. Stała nieruchomo na malutkiej polanie.

- Co się dzieje?

Wskazała ręką w górę.

Małpa złodziejka przycupnęła na pogawędkę z dwoma koleżankami.

- No dobrze, znalazłaś ją, i co teraz?

- Daj mi pomyśleć. - Sophie potarła czoło.

Platyna błysnęła w słońcu. Małpy z zaciekawieniem oglądały zdobycz.

- Może udałoby się nam skusić je owocami? - zastanawiała się na głos.

- Mają mnóstwo owoców wszędzie wokół, dlaczego miałyby schodzić po nie do nas?

- A masz jakiś lepszy pomysł?

Nie miał.

Nagle jedna z małp spróbowała wyrwać złodziejce bransoletkę, ale została odepchnięta. Obrażona i zła, przeskoczyła po lianie na inne drzewo.

- Dzień w zoo - zamruczał Gibb.

- Byłeś kiedyś w zoo w San Diego?

- Jasne, a ty?

- Ciocia Kristi często mnie tam zabierała, uważała, że w ten sposób mniej tęsknię za domem.

- Musiało być ci ciężko i smutno tak daleko od ojca i rodzeństwa.

Sophie nie odrywała wzroku od małp.

- Dużo się bawiłam z kuzynkami. Kiedy wróciłam do Kostaryki, tęskniłam za nimi.

- Jak długo mieszkałaś w Stanach?

- Ponad rok.

Gibb wyczuwał, że Sophie nie bardzo ma ochotę rozmawiać na ten temat. Powinien przestać ją wypytywać, ale ponieważ wszystko, co jej dotyczyło, było dla niego interesujące, zadał kolejne pytanie.

- Z jakiego powodu zamieszkałaś u cioci? Milczała tak długo, że przestał oczekiwać odpowiedzi.

- Przepraszam, to nie moja sprawa. Nie powinienem był pytać.

- Mama zmarła na zapalenie opon mózgowych, kiedy miałam dwanaście lat.

- Och, Sophie, tak mi przykro. - Poczul się jak wścibski dureń.

- To było dawno temu, ale wciąż pamiętam to zoo. Najbardziej lubiłam obserwować małpy, są takie podobne do ludzi.

- Zabawne, interesowały cię zwierzęta w ogrodzie zoologicznym, a tyle ich przecież widziałas na wolności.

- No właśnie. Wcześniej było dla mnie oczywiste, że mogę je podglądać w naturalnym środowisku. Dopiero później zrozumiałam, że ludzie w wielkich miastach nie są tak

uprzywilejowani. Pojęłam, jak mi się poszczęściło, a także ile radości dają takie ogrody ludziom, którzy nigdy nie zobaczą niektórych zwierząt na wolności.

Sophie zamyśliła się, a Gibb się wzruszył.

- Rozumiem cię.

Jedna z małp próbowała ugryźć bransoletkę. Nie dało się, więc zaczęła ją uważnie oglądać. Wtedy druga spróbowała jej wyrwać łańcuszek. Obie zaczęły głośno wrzeszczeć, najwyraźniej kłóciły się. Wróciła ta, która wcześniej odeszła obrażona. Zanosilo się na dalsze wrzaski i szarpaninę. Dobrze, Gibb i Sophie mogli na tym skorzystać.

Małpy wrzeszczały i okładały się jak na prawdziwym ringu. Było na co popatrzeć.

- Nie spuszczaaj z nich wzroku. Jeśli pozwolimy im odejść, bransoletka przepadnie.

- Sophie szturchnęła Gibba między zębra.

- Skąd u ciebie tyle pozytywnej energii? - zapytał.

- Jako odnoszący sukcesy biznesmen również powinieneś być optymistą. A tak w ogóle to trzeba umieć korzystać z doświadczenia i być wytrwałym.

- Mówisz na własnym przykładzie?

- Kiedy ojciec podarował mi El Diablo, nikt, z wyjątkiem niego, nie wierzył, że uda mi się stworzyć połączenia czarterowe z lokalnego lotniska.

- Jak to na ciebie wpłynęło?

- Byłam bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek. Potrafię się koncentrować na tym, co robię, jeśli mi na tym zależy. Poza tym miałam tatę po swojej stronie. Ważne, by wierzyła w ciebie przynajmniej jedna osoba.

Gibb pomyślał o swoim ojczymie. I musiał przyznać, że zawsze miał w nim wsparcie. Może i nie okazywał mu uczuć, ale nigdy w niego nie wątpił.

- Nie było łatwo - kontynuowała. - „Diabełek” Wymagał wielu napraw. Ojciec długo dochodził do siebie po operacji, potem musiał podjąć decyzję, czy jeszcze kiedykolwiek usiądzie za sterami. W sumie samolot stał w hangarze przez rok. Pamiętam dokładnie, co ojciec powiedział, kiedy mi go pokazywał. Wygłosił krótką, ale wzruszającą przemowę, potem dał mi kluczyki i objął mnie. Oboje popłakaliśmy się ze wzruszenia.

- Ależ jesteś odważna. Nie zważałaś na głosy krytyki, po prostu zaczęłaś latać.

- Nazywali mnie marzycielką albo porównywali do mamy, która też była bardzo uparta. Nie docenili siły marzeń. Trzeba wyobrazić sobie cel i pokonywać kolejne przeszkody na drodze do jego osiągnięcia. Pomogło mi, że wiele razy czytałam Jonathana Livingstona Seagulla.

- Jesteś absolutnie zdumiewająca - powiedział, i nie był to czczy komplement.

- To teraz weź ze mnie przykład i uwierz, że odzyskamy twoją bransoletkę.

- Co innego optymizm, co innego mrzonki.

- Przekonajmy się, do której kategorii należy moja wiara w sukces.

- Lubię mieć wszystko pod kontrolą, wtedy jestem optymistą. Kiedy zachodzą nieprzewidziane okoliczności, często tracę grunt pod nogami.

- Nie można wszystkiego z góry zaplanować.

Gibb brnął mozolnie przez gęste zarośla. Gałęzie smagały go po twarzy, ślizgał się po wilgotnej ziemi, próbował trzymać się tuż za Sophie, ale i tak zniknęła mu w pewnej chwili z oczu. Żałował, że nie działa telefon, brakowało mu GPS-u. Tak łatwo było się zgubić w tym lesie.

- Sophie, gdzie jesteś?

Cisza.

- Sophie?

Puls mu przyspieszył. A jeśli coś jej się stało? Zaczął sobie wyobrażać mrożące krew w żyłach sceny. W tym momencie z gęstwiny wyłoniła się najpierw ręka, potem Sophie położyła mu palec na usta i pociągnęła za sobą. Czuł jej piersi, obejmowała go.

- Ani słowa - wyszeptała mu do ucha. Poczul jej ciepły oddech na skórze. Zamknął oczy i uzmysłowił sobie, że powoli przegrywał walkę z naturą.

- Powoli schodzą na ziemię.

Kto? Co? O czym ona mówi? Po chwili wszystko było Jasne. Usłyszał szelest liści i małą przeczkę. Otworzył oczy. Małpy były tuż nad nimi.

- Nie ruszaj się. Są zajęte sobą, nie widzą nas.

Sophie dalej stała blisko niego. Dopóki czuł jej ciało przy swoim, nie obchodziło go, gdzie jest bransoletka. A przecież nosił ją codziennie od dziesięciu lat.

Spojrzał na bijące się zwierzęta. Wszystko, co odwracało jego uwagę od Sophie, było na wagę złota.

- Małpy są interesujące - orzekł.

- Owszem.

- Jak długo będą się kłócić o platynowy łańcuszek?

- Dopóki im go nie odbierzemy - odpowiedziała spokojnie i stanowczo.

- No to ruszajmy. - Uśmiechnął się.

Trafili za małpami w taki gąszcz, że nie docierało tu światło słoneczne, ale było nieco chłodniej. Wszystko tonęło w półmroku. Z daleka dochodził nikły szum wodospadu. Chodzili po lesie już parę godzin. Jeśli jakimś cudem odbiorą małpom bransoletkę, to i tak Sophie nie zdoła naprawić samolotu przed zachodem słońca. Ostatecznie nic takiego się nie stanie, jeśli odlecą jutro. Gibb miał to właśnie powiedzieć na głos, gdy zdarzył się cud,

Któraś z małp upuściła łańcuszek. Platynowa bransoletka upadła tuż pod stopy Sophie.

- Bingo!

Nad ich głowami rozpętała się teraz prawdziwa małpia awantura, prawdopodobnie stado wymyślało niezdarnej koleżance.

- Gapy tracą - powiedziała małpom na pożegnanie Sophie i włożyła bransoletkę do kieszeni. Wściekłe zwierzęta zaczęły rzucać w Sophie i Gibba owocami marakui.

- Uff! - Sophie zasłoniła twarz. - Wy małe złośliwe pokraki!

- Daj spokój! Zwijajmy się stąd.

Ruszyli biegiem, roześmiani, lepcy od owocowego soku, aż uznali, że są już wystarczająco daleko. Zatrzymali się, żeby nabrać tchu.

- Coś ci się przykleiło do ucha. - Delikatnie usunął kciukiem nasiona marakui i zamruczał jak kot: - Co teraz?

- Nie wiem jak ty, ale ja muszę się umyć. Może odnajdziemy ścieżkę do wodospadu.

- Jaką ścieżkę? Jesteśmy w dżungli. Podrzucić mnie do Paryża, Miami czy Nowego Jorku, a zaprowadzę cię, dokąd zechcesz. Ale tutaj? To nie mój rewir.

- Może usłyszymy wodospad, a jak nie, to w ostateczności dojdziemy do morza. Wylądowaliśmy przecież na wyspie.

- Prowadź!

Sophie poszła pierwsza, on posłusznie za nią. Nie był do tego przyzwyczajony, ale co zrobić, tutaj to ona decydowała. Szli prawdopodobnie pół godziny, ale jemu wydawało się, że całe wieki. Marzył, żeby znaleźć się na plaży i się ubrać. Roślinność nieco się przerzedziła, w pewnym momencie dał się słyszeć niewyraźny jeszcze szum opadającej wody, narastający z minuty na minutę. Dotarli na polanę.

- Spójrz, Gibb, jaka piękna orchidea! - zawołała zachwycona Sophie. Rzadko zwracał uwagę na kwiaty, ale teraz udzielił mu się jej entuzjazm. Patrzył na jej radość i też czuł się szczęśliwy. Był blisko niej. - Ta odmiana występuje bardzo rzadko, może owijać się wokół gałęzi. Nazywają ją duchem. Jest bardzo delikatna.

Gibb obejrzał kwiatek z należytych respektach. Był świetlisty, biały, pozbawiony liści, miał łodygę tak mikrą, że wydawał się zawieszony w powietrzu. Ni to duszek, ni żaba. Gibb nigdy nie widział czegoś podobnego.

- Magia. Czysta magia. - Sophie wodziła delikatnie palcami po płatkach orchidei.

Zapadał zmierzch, zaczynały zlatywać się ćmy, niektóre wielkości kolibrów. Przelatywały od kwiatka do kwiatka, chciwie pijąc nektar.

- Nie wierzę, że uczestniczę w takim spektaklu, wszystko jest zachwycające. To, że dzielę tę chwilę z tobą, zapamiętam do końca życia.

Gibb poczuł się ważny i dumny. Nie wiedział, jak jej podziękować za słowa, które przed chwilą usłyszał, więc wziął ją po prostu za rękę. Stali tak dość długo, obserwując bajeczny spektakl. Wokół unosił się zapach wanilii, grejpfrutów i anyżku.

Sophie nagle zachichotała.

- Czy wiesz, jak nazywają te ćmy? Latające języki. Tylko one mogą zapylić orchidee. Te języki są strasznie długie, mają kilkanaście centymetrów.

- Tylko tyle? - Zaśmiał się. - Brzmi to bardzo erotycznie.

Zachichotała znowu i zakręciła się wokół własnej osi jak baletnica.

- Wszystko, co dotyczy tych orchidei, ma erotyczny podtekst.

Gibb nie mógł od niej oderwać wzroku. Miała rację, powietrze aż wibrowało od magii. Unosiła się w powietrzu, słodko pachniała, upajała jak najlepsze wino.

Posłał Sophie najbardziej zmysłowe spojrzenie, na jakie było go stać. Odwzajemniła je. Co za kobieta! Zmysłowa, śliczna, podniecająca.

Wydawało mu się do tej pory że potrafi cieszyć się życiem. Jeździł szybkimi samochodami, jadał w czterogwiazdkowych restauracjach, podróżował po całym świecie. Ale jej miłość do życia była o niebo prawdziwsza i silniejsza. Pieniądze przesłoniły mu wiele spraw, ale dziś odzyskał ostrość widzenia. Oczywiście dzięki Sophie.

Kiedy na nią patrzył, wiedział, że dopiero za jej sprawą zrozumiał, czego i kogo mu potrzeba, by był szczęśliwy. Takiej kobiety jak ona, zainteresowanej nim, a nie jego portfelem czy prestiżem. Chciał być z Sophie dzień i noc, ale zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Była jak motyl, delikatna i wolna. Rozświetliła jego życie, uświadomiła mu, że dotąd tkwił w ciemnościach.

- Sophie, pragnę cię tak bardzo, że brakuje mi tchu.

- Ja ciebie też...

- Nie chcę, żebyś czegokolwiek żałowała. Jesteś pewna, że nie zawładnął tobą urok tej wyspy? A jeśli rano obudzisz się i pomyślisz, że popełniłaś straszne głupstwo?

- Pomyślę tak, jeśli tego nie zrobimy. Nigdy nikogo tak nie pragnęłam.

Zbliżył się do niej, a ona zrobiła krok w jego stronę. Zdjęła trampki, on mokasyny. Podciągnęła i zdjęła top.

- Zamierzasz tak stać całą noc i patrzeć na mnie, czy może jednak rozepniesz mi biustonosz? - zapytała słodkim głosem. Oblizwała górną wargę i posłała mu spojrzenie sugerujące, że oczekuje bardzo gorących doznań.

Przez chwilę Gibb pragnął uklęknąć przed nią i złożyć hołd jej pięknu, ale tylko przez chwilę. Potem porwał ją w ramiona i obsypał pocałunkami, które z chęcią odwzajemniała.

Całując ją, szukał palcami haftek od stanika.

- Zaczekaj! Masz prezerwatywę?

- W jedwabnych bokserkach? Zastygła na moment, po czym przyznała:

- Kiedy fantazjowałam na twój temat, nie myślałam o zabezpieczeniu.

- A fantazjowałaś? Naprawdę?
- A co myślałaś? Że zastanawiałam się, ile masz na koncie?
- Kochanie, możemy sprawić sobie przyjemność na różne sposoby.
- Cofnij się - nakazała ze zmysłowym uśmiechem.
- Słucham?
- Cofnij się i oprzyj plecami o drzewo.
- I co teraz?
- Teraz zabiorę cię na przejażdżkę. - Uklękła i ściągnęła mu bokserki.

Myślał chętnie, że to on pierwszy pokaże jej niebo, a nagle role się odwróciły. Ale zrobi to na pewno, Sophie zapamięta na zawsze rozkosz, jaką jej dzisiaj ofiaruje. Na razie to on zaciskał dłonie w pięści i zamykał oczy. Palce Sophie błędziły po jego ciele. Kręciło mu się w głowie i brakło tchu, a przecież dopiero zaczęła.

Kiedy koniuszką języka lizała jego członek, przestał myśleć o czymkolwiek poza jej ustami. Po chwili wzięła cały penis do ust, przesuwała po nim wargami, lizała, drażniła, ssła. Chwyciła jego pośladki i unieruchomiła go. Oszalała go pieczytą i zapach orchidei, kolana drżały, świat zewnętrzny przestał istnieć. Liczyło się tylko tu i teraz. Rozkosz, chociaż to wydawało się niemożliwe, stale narastała.

Ręce Sophie niestrudzenie pieściły jego całe ciało. Wydawało mu się, że dziewczyna ma ze sto palców i dziesięć języków. Jak inaczej mogłaby robić te wszystkie zadziwiające rzeczy? Dotykał jej głowy, zanurzał palce we włosach.

- Tak, tak, tak - powtarzał.

Nigdy czegoś takiego nie doświadczał, choć nie był przecież nowicjuszem. To było jak erotyczny sen na jawie, na szczęście działa się naprawdę.

Była nie tylko piękna. Była samym życiem, czystą radością, nie dostrzegał w niej fałszu czy nieśmiałości. Wiedziała, co robi i czego pragnie. Opoka, skała, aksamit.

Sophie nieustająco przesuwała granice jego wytrzymałości. Niech to się już stanie. Jeśli jeszcze chwilę będzie trwało, chyba pęknie mu serce.

Wreszcie to poczuł. Chwila najśłodziej rozkoszy, a potem równie słodka ciemność. Koniec.

Po dłuższej chwili otworzył oczy, zamrugał powiekami. Sophie siedziała u jego stóp i uśmiechała się jak skromnisia.

Opadł na kolana, poczuł pod nogami miękki mech. Wyciągnął się na boku, próbując dojść do siebie. Sophie położyła się obok niego.

W tym momencie Gibb zapragnął odmienić całe swoje życie, odnaleźć nową drogę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Teraz kolej na ciebie - powiedział Gibb, gdy jego serce zaczęło bić normalnie. - Fantazjowałem o tobie, od kiedy wylecieliśmy z Bosque de Los Dioses.

Przytłoczona wszystkim, co wyczyniała z Gibbem, nie miała siły się odezwać. Poszukała jego wzroku. Sprawiał wrażenie bardzo szczęśliwej osoby. Było oczywiste, że jej śmiałe pieszczoty zrobiły na nim wrażenie.

Przewrócił ją na plecy. Leżała na miękkiej, porośniętej mchem ziemi. A w górze umięśniony tors Gibba. Niejeden atleta mógłby mu pozazdrościć. Bicepsy, wyrzeźbione mięśnie brzucha, zero tłuszczu. Sophie nie miała jeszcze nigdy tak pięknie zbudowanego kochanka. Gibba trudno będzie zapomnieć.

I jeszcze ta twarz...

Regularne rysy pełne charakteru, silnie zarysowane szczęki i kości policzkowe. Kiedy szare oczy wpatrywały się w nią intensywnie, cała pokryła się gęsią skórką.

Teraz orchidee pachniały dla niej. Czas przestał płynąć. Nie chciało jej się opuszczać wyspy. Czemu miałyby wyjeżdżać z rajy?

Gibb zaczął ją całować, powoli, delikatnie. Zamknęła oczy, wdychała jego woń. Chwilę później nieco się odchylił, tylko po to, żeby na nią spojrzeć. Uśmiechał się tak czule, że Sophie odczuła niepokój.

- Gibb, musimy porozmawiać.

- Tak, koniecznie. Chciałbym wiedzieć, co lubisz, czego nie...

- Szs... - Położyła mu palec na ustach.

Wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Posłuchaj. - Zastanawiała się, jak ubrać w słowa to, co miała powiedzieć.
- Słucham uważnie.
- Musimy ustanowić pewne reguły.
- Może wydaję się wyrafinowany, ale w sprawach seksu nie szukam perwersji.

Chyba że... - zawiesił głos - jest coś, na co szczególnie miałabyś ochotę.

- Nie zamierzałam rozmawiać o seksie.
- Nie bardzo rozumiem. To o co ci chodziło?
- O emocje w naszej relacji. - Nakreśliła palcem X na jego sercu.
- A konkretnie? - Wyraźnie posmutniał.

Zbierała się na odwagę. Lubiała Gibba dużo bardziej, niż było rozsądne. Musiała być z nim szczerą. Całe życie marzyła, żeby poczuć taką namiętność do mężczyzny, a kiedy to nadeszło, dręczyła ją obawa. Nie wiedziała, na czym stoi.

- Czekam w skupieniu. Mów.
- Nie wiemy, co się stanie, gdy wrócimy do naszych codziennych zajęć.
- A co chciałabyś, żeby się stało?

Żyli długo i szczęśliwie, krzyczało jej serce, ale brakowało jej śmiałości, by to otwarcie przyznać. Dopiero się poznali, jednak wszystko działo się zbyt szybko. Tak bardzo się różnili. Pochodzili z innych światów. Czy sama namiętność wystarczy? Po raz pierwszy dotarło do niej znaczenie słów Josie, gdy mówiła, że pożądanie to za mało, żeby stworzyć szczęśliwy związek, że jest wiele innych ważnych rzeczy.

- Nie chcę, żebyś mnie zranił - wyszeptała.
- Nie chcesz, żebyśmy się angażowali, rozumiem. Masz rację, ustalmy sobie pewne zasady. Spróbujmy rozładować napięcie, które nas tak męczy. Cieszymy się wspólnie spędzonym czasem na wyspie.

- Tak - zgodziła się, choć w duchu myślała inaczej.

Wiedziała jednak, że to mrzonki. Gdyby była mądra, przerwałaby wszystko teraz, ale za bardzo go pragnęła. To takie żalosne, a zarazem romantyczne.

Właściwie czyż nie lepiej cieszyć się choć jedną namiętną nocą, niż w ogóle nie zaznać rozkoszy?

- Nie chcę tylko, żebyś pomylił zabawę z czymś poważniejszym - powiedziała.

- Nie obawiaj się, jestem dużym chłopcem.

- To dobrze.

- Okej, to do jakiego momentu doszliśmy? - zapytał, całując ją w szyję. - Chyba trzeba cię nieco rozebrać.

Nigdy nie była przesadnie skromna, ale teraz, gdy chciał odpiąć jej stanik, poczuła się zawstydzona. -

Gibb wpatrywał się w nagie piersi. Pod wpływem jego spojrzenia poczuła, jak jej sutki twardnieją. Zakryła je dłońmi.

- Moi bracia nazywali mnie *Tortita*.

- Co to znaczy?

- Naleśnik.

Zaśmiał się. Udała niezadowoloną.

- Nie musisz się z nimi zgadać.

- Ochoczo temu zaprzeczę. - Przymrużył oczy i oznajmił: - Są doskonałe.

Przymknęła oczy. Ujął jej twarz w dłonie i przez chwilę nie robił nic, tylko na nią patrzył.

Sophie prosiła w duchu: Zrób coś! Pocałuj mnie. Dotknij mnie. Cokolwiek. Kiedy już nie mogła dłużej wytrzymać niepewności, otworzyła powoli oczy. Dostrzegła zachwyty na twarzy Gibba, jakby stanowiła dla niego najcenniejszy skarb.

Wreszcie poczuła ciepło jego ust na swoich wargach. Palcami mierzwiła mu delikatnie włosy. Siłą powstrzymała się, żeby się nie rozplakać z nadmiaru emocji. To hormony, próbowała sobie wmówić. Nie może zakochać się w tym facecie. Nie ma dla nich przyszłości. Jego pożądanie było potężne, ale krótkotrwałe. Na stałe potrzebował kogoś równie bogatego jak on, z podobnymi ambicjami.

Mogła sobie być w połowie Amerykanką, ale czuła się Kostarykanką. Lubiła swoje życie, innego nie chciała. Czekala już tylko na wielką miłość, w której nadejście nadal wierzyła.

A jeśli to, co się dzieje teraz, to właśnie taka miłość?

Przestała snuć te rozważania, bo całował ją tak, że zadrżała. Był doświadczonym kochankiem, wiedział, którym miejscem należy poświęcić więcej czasu, jak je pieścić.

Jęknęła z rozkoszy. Dłonie Gibba powędrowały ku jej szortom, szybko uporały się z zamkiem.

- Unieś biodra - poprosił. Posłuchała. Po chwili była już bez szortów, a zaraz potem zupełnie naga. - Hmm... ślicznie pachniesz.

Rozpoczął wędrówkę ustami po jej ciele. Od piersi, poprzez napięty brzuch, aż do miejsca, na którym jej najbardziej zależało.

- Podoba ci się, prawda?

- Tak... tak.

Zrobił małą pauzę, żeby troszkę poczekała. Napięcie Sophie rosło, stawało się nieznośne. Gibb zajął się teraz jej twarzą. Wodził palcami po policzkach niczym niewidomy, potem zajął się obojczykami. Pragnęła go tak mocno, drżała z niecierpliwości.

- Proszę - wyszeptała.

Jego palce wędrowały dalej. Pokazał, że nie wiedziała, jak wiele miejsc jej ciała jest podatnych na rozkosz. Chłonęła mrok nocy, zapach dżungli i oddech Gibba. Piękna chwila, ale nie mogła trwać wiecznie. Skąd takie gorzkie myśli w takim cudownym momencie? Zamknęła oczy, postanowiła zapomnieć o smutkach. Potrzebowała teraz jedynie krótkiej, słodkiej chwili wytchnienia i rozkoszy.

Gibb całował wewnętrzną stronę jej ud, równocześnie pieszcząc je dłońmi.

- Twoje ręce są... niewiarygodne, wspaniałe...

Pieścił językiem najintymniejszą część jej ciała, wchodził w nią delikatnie, obsypywał pocałunkami. Uniosła biodra, zacisnęła dłonie, krzyknęła. Gibb nie przestawał.

- Poczekaj jeszcze chwilę, kochanie, warto...

Zrobiłaby wszystko, o co by poprosił. Zwalniał, by zaraz potem przyspieszyć, dłonie na jej biodrach, pomiędzy udami, na zmianę z ustami, językiem. Aż wreszcie to się stało. Niekontrolowany spazm zawładnął jej ciałem, a ona z chęcią mu się poddała.

Sophie leżała zupełnie naga, przyjemnie rozluźniona. Bujała w obłokach, ale też rozpamiętywała niedawne doznania.

Kto by pomyślał, że język mężczyzny może zdziałać takie cuda. Gibb spał obok, oplótłszy ją nogami. Uśmiechnęła się w stronę nieprzeniknionych ciemności. Stanowiła z Gibbem część natury, jak ptaki czy owady. Odetchnęła głęboko. Wiele osób obawia się

dżungli, ale nie Sophie, ona wychowała się w takim otoczeniu, te odgłosy i zapachy kołysały ją do snu.

Dom.

Przytuliła się do Gibba. Jeśli kogoś miała się tu obawiać, to tego mężczyzny i świata, z którego pochodził. Tam panowały znacznie bardziej skomplikowane reguły. Wpadli oboje w sidła namiętności. Jak się z tego wyplączą?

To przecież tylko seks, czyż nie? Tak się czasem mówi, żeby nie komplikować spraw. Tylko że w ich przypadku aż buzuje od chemii. Czowała się, jakby do jej otwartego serca wpadały promienie słoneczne.

Szkoda, że nie czuła się tak przy Emiliu. Był dobrym człowiekiem, przyjacielem, pewnie niezłym kochankiem. Może rozważałaby, czy spędzić z nim resztę życia, gdyby nie poznała Gibba. Teraz nikt nie mógł się z nim równać. Zaczęła się obawiać, że nic lepszego jej już w życiu nie spotka. Przypatrywała się jego twarzy. Powiodła palcem po jego nosie. Dlaczego Gibb nie jest zwykłym facetem wykonującym banalny zawód? Czy musiał ją zauroczyć milioner poza jej zasięgiem? Śmiechu warte.

Dość tego uzalania się nad sobą, musi zmienić sposób myślenia. Nawet jeśli było to najcudowniejsze doznanie erotyczne jej życia, nie powinna idealizować Gibba. Zamiast wyobrażać sobie, jak budzi się przy nim co rano i podróżuje po rozmaitych zakątkach świata, musi spojrzeć na wszystko trzeźwo. Najprawdopodobniej nie byłoby tak cudownie. Jako pracoholik wiecznie spędzałby czas poza domem. Wstawałby rano, ćwiczył godzinę, a potem na szesnaście godzin znikał w pracy.

Poza tym nic nie trwa wiecznie, wspomnienie romantycznej nocy z czasem zblednie. Może czasami wspomni Gibba i rajską wyspę. Uśmiechnie się wtedy zagadkowo, a inni będą snuli domysły, o czym rozmyśla.

Teraz już wiedziała, że namiętność to obosieczna broń. Przynosi niezwykle doznania, ale pozbawia zdolności racjonalnego myślenia, obezwładnia ciało i umysł.

Jeśli jest się zakochanym po uszy, myśli się wyłącznie o seksie, tylko to wydaje się ważne. Dziewięćdziesiąt procent czasu spędzaliby w łóżku, oczywiście gdyby Gibb przestał być pracoholikiem. Straciłby miliony, a ona przestałaby latać.

Właśnie takie rozważania snuła w objęciach ukochanego, upojona niedawnymi erotycznymi doznaniem. I wciąż powracało do niej uporczywe pytanie, jak by to było, spędzić z nim resztę życia. A zaraz potem pojawiało się ostrzeżenie: uważaj, ani kroku dalej, zanim będzie za późno.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że leży teraz naga w objęciach Gibba? Zadrżała na wspomnienie jego ust na swojej skórze.

Poruszył się, przyciągnął ją do siebie, nie otwierając oczu, delikatnie pocałował.

- Gibb?

- Hmm...

- Nie śpisz?

- Śpię.

- Chciałam powiedzieć, że... to było, to znaczy ty byłeś... brak mi słów.

- Mnie też, kochanie... - mruknął.

Wtulila twarz w jego szyję, wdychała jego zapach. Jednocześnie odczuwała niepokój, jakby wędrowała tuż nad głęboką przepaścią. Jeden fałszywy krok, i wpadnie w otchłań, zginie. Właściwie to już przepadła.

Słyszała przyspieszone bicie własnego serca, serce Gibba biło równie mocno. Powinna wstać albo chociaż odsunąć się nieco, stworzyć między nimi dystans. Nieoczekiwanie poczuła napływające łzy. Zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać. Przecież nie ma powodu do płaczu. Przeżyła piękne chwile i będzie się nimi cieszyć do samego końca, a potem znajdzie, miała nadzieję, siłę, żeby odejść.

Zmęczona wałkowaniem w kółko tego samego, w końcu usnęła.

Jak się okazało, w sennych marzeniach też nie potrafiła uwolnić się od Gibba. Przeżywała ponownie miłosne sceny, lecz nieco inaczej niż na jawie. Istotną rolę pełniło w nich jedzenie. Smarowali się czekoladą, którą potem z siebie zlizywali, zajadali truskawki i słodkie winogrona, całowali się. Wszystko było takie barwne, realistyczne, sugestywne. Kiedy usłyszała bzyczenie, myślała, że to rozeżłone pszczoły, którym Gibb we śnie podkraadał miód. Na szczęście obudziła się i odkryła źródło natarczywego dźwięku. Nad wyspą przelatywał samolot.

Wyrwała się z objęć Gibba i zerwała na równe nogi. Mrok dżungli powoli się rozpraszal, nadchodził świt.

- Co się dzieje? Coś się stało? - pytał nieprzytomnie Gibb, przecierając oczy.
- Samolot! - Wskazała palcem niebo. Poderwał się błyskawicznie.
- Radio! Musimy dostać się jak najszybciej do radia.
- Ubranie! Buty! - komenderowała. - Tam leżą!
- Już, już.
- Pospiesz się.
- Nie zdążymy dotrzeć do plaży na czas - zaniepokoił się.
- Nie kracz! Myśl choć raz pozytywnie.
- A wiesz, którądy iść?
- Tak mi się wydaje. Słyszałam w nocy szum morza, powinno być gdzieś blisko.
- A jeśli jesteśmy po drugiej stronie wyspy?
- Cóż, stracimy kolejną szansę. Ale spróbować musimy.
- Marzycielka.
- Owszem, i na ogół dobrze na tym wychodzę.

Ubierali się w pośpiechu, podczas gdy odgłos samolotowych silników zamierał w oddali. Jeszcze mieli szansę zdążyć, musieli się spieszyć.

- Chodź! - powiedziała i chwyciła Gibba za rękę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Potykając się o korzenie, biegli w kierunku, gdzie według Sophie powinna znajdować się plaża. Różne stworzenia, małe i większe, umykały im spłoszone sprzed nóg.

Po kilkunastu minutach Sophie brakowało już tchu. Gibb, jako człowiek ze stali i przy tym grzeczny mężczyzna, wysforował się naprzód, żeby rozgarniać bujną zieleń przed Sophie. No proszę, facet z miasta, a ma lepszą kondycję niż ona. Przy okazji mogła znowu podziwiać jego nienaganną sylwetkę. Tak, miał powody do dumy.

Sophie martwiła się, że nie zdążą dotrzeć do radia na czas. W skrytości ducha miała jeszcze nadzieję na coś innego. Ponieważ słyszeli samolot dość długo, musiał lecieć w miarę nisko. Istniała więc szansa, że pilot dostrzegł El Diablo na plaży, a wówczas byliby uratowani. Były to pobożne życzenia, ale przecież nie wolno upadać na duchu. W końcu zniknięcie osoby tak ważnej jak

Gibb Martin powinno zostać przez kogoś dostrzeżone. A może jednak nie?

W takim wypadku zostałyby uwięziona na bezludnej wyspie z najseksowniejszym mężczyzną na świecie. I jeśli ją coś martwiło, to brak prezerwatyw. Myśl, co by mogła robić, gdyby je mieli, była dla niej największą torturą.

Gibb przebił się przez ostatnią linię drzew i pnączy. Dotarli do morza. Wyciągnął rękę i czekał, aż Sophie podejdzie.

- Jesteśmy drużyną.

Ze splecionymi dłońmi pokonali ostatnie metry i znaleźli się na plaży. Samolot tkwił w piasku jakieś pięćset metrów od nich. Zatem mieli jeszcze spory dystans do pokonania.

- Może byś się przeleciał? Masz dłuższe nogi ode mnie.

Po chwili dostrzegli w pewnej odległości od El Diablo małą łódkę kołyszącą się na wodzie.

- Możemy zwolnić, zdaje się, że jesteśmy uratowani - odpowiedział Gibb.

Sophie powinna się ucieszyć, tymczasem ogarnął ją niepokój. Intuicja ostrzegła ją przed niebezpieczeństwem. Zatrzymała się.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał, nie kryjąc zdumienia.

Położyła palec na ustach, dając znak, by zamilkł, i wycofała się w stronę lasu.

Gibb spoglądał to na nią, to na łódkę, coraz bardziej zdezorientowany. Sophie bała się, że nie podejdzie i będzie musiała coś do niego powiedzieć. Z tej odległości nikt by ich pewnie nie usłyszał, ale wołała zachować ostrożność.

Niewielka wysepka, na której się rozbili, należała prawdopodobnie do Kolumbii, podobnie jak Island de Providencia. Ludzie z łódki mogli być przemytnikami narkotyków i być może mieli tutaj kryjówkę.

Gibb na szczęście do niej podszedł i mogła podzielić się z nim wątpliwościami. Czas najwyższy, bo łódka dopływała brzegu.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? Czemu się ukryłaś?

- Nie wiemy, kim są ci ludzie. Może to piraci? Albo przemytnicy? A my nie mamy nic do obrony.

- Możemy rzucać w nich kokosami jak małpy.

- Kpisz sobie? Jesteśmy tutaj odcięci od świata i być może grozi nam niebezpieczeństwo.

- Czy nie zaczynasz popadać w lekką paranoję? A jeśli przyplłynęli, żeby nam pomóc? My tu będziemy się chować, a oni wrócą, skąd przybyli, i wtedy możemy długo czekać na kolejną okazję.

Sophie przygryzła dolną wargę. A jeśli się myliła? Gibb zamilkł. Przyczaili się i czekali. Tymczasem łódka była coraz bliżej.

- Słuchaj, rozumiem, że się zdenerwowałaś. Jesteś kobietą, wpojono ci przekonanie, że mężczyznom nie należy ufać, ale po ostatniej nocy chyba ufasz przynajmniej mnie?

- Gibb, przecież nie chodzi o ciebie, tylko o tamtych.

- Masz jakiś szczególny powód do niepokoju?

- Spójrz na tę łódkę. Jest stara i w kiepskim stanie. Uważasz, że grupa ratowników wybrałaby się na poszukiwania takim kiepskim sprzętem?

- Raczej nie.

Słysząc było niewyraźnie pojedyncze słowa. Ludzie z łódki mówili po hiszpańsku.

- Rozumiesz, o czym rozmawiają?

- Niestety nie, są za daleko.

- Sophie, nie zamierzam żartować z twoich przeczuć, ale muszę się stąd wydostać jeszcze dzisiaj, inaczej nie zdążę na wesele Scotta.

- Nadal zamierzasz mieszać się do jego spraw?

- Chcę mu pomóc, a w każdym razie upewnić się, czy nie popełnia błędu. Sama powiedziałaś mi, że przedkładałam pracę i pieniądze nad ludzi. Zrozumiałem, wyciągnąłem wnioski i planuję to zmienić.

- Jaki masz pomysł? Nie znasz hiszpańskiego, nie dogadasz się z nimi.

- A pomyślałaś, że to mogą być zwykli rybacy? Zobaczyli samolot na brzegu i z ciekawości podpłynęli, żeby sprawdzić, co się stało. Za odpowiednią cenę na pewno nas zabiorą na Island de Providencia. Wiem, jak po hiszpańsku powiedzieć „pieniądze”.

- Jasne, na pewno umiesz to powiedzieć co najmniej w stu językach. - Odgarnęła włosy na plecy.

- Czepiasz się. Pytałaś, jaki mam plan, to odpowiadam.

- Piraci nie przyjmują kart kredytowych. Ponieważ jesteś Amerykaninem, uznają, że masz pieniądze. Wezmą cię na zakładnika, a co mogą zrobić mnie, wolę nie myśleć.

Patrzył na nią przez chwilę, potem pogładził po ramieniu.

- Ty nie żartujesz.

- Spróbujmy dyskretnie do nich podejść i podsłuchać, o czym rozmawiają. Jeśli to rybacy, przestaniemy się chować.

- W porządku.

Przekonała Gibba, ale zaczęła się zastanawiać, czy nie jest zbyt podejrzliwa. A może podświadomie szuka pretekstu, żeby spędzić z Gibbem na wyspie więcej czasu.

Łódź dobiła do brzegu. Sophie rozglądała się czujnie. Coś jej się tu zdecydowanie nie podobało.

Mężczyźni wysiedli na brzeg i zbliżyli się do El Diablo. Jeden z nich podszedł do skrzydła samolotu i zdjął suszące się na nim ubranie Gibba. Powiedział coś do pozostałych, a ci zareagowali śmiechem.

Gibb chciał wiedzieć, o czym mówią.

- Zażartowali sobie, że pilot musi być gołym bogaczem.

- Jak się domyślili?

- Na twoim ubraniu są metki, poza tym złodzieje umieją ocenić wartość towaru.

- A więc wiedzą, że jesteśmy gdzieś w pobliżu.

- Samoloty raczej nie rozbijają się same i nie noszą garniturów.

Dwóch mężczyzn skinęło na pierwszego, aby wrócił do łodzi. Ten cisnął spodnie z powrotem na skrzydło.

- Odpływają? - spytał Gibb.

- Raczej nie.

Mężczyźni wyjęli z łodzi dużą plastikową balię.

- Co tam może być? - dopytywał zaciekawiony Gibb.

- Narkotyki. Albo skarb. A może ciało? Kto to wie?

- Jak na piękną kobietę, masz nieco mroczne skojarzenia.

- Czekać, znowu coś mówią.

Jeden z mężczyzn wyjął z kieszeni mapę.

- Może się zgubili?

- Cicho bądź!

Najwyższy cofnął się do łodzi po szpadle. Wyglądali, jakby wiedzieli, co zaraz będą robić. Mówili teraz cicho. Sophie wyłapywała tylko pojedyncze słowa: plony, nożyce, ziemia doniczkowa.

Gibb trącił ją łokciem.

- Rozmawiają na tematy ogrodnicze - powiedziała, uprzedzając pytanie.

- Co? To ogrodnicy?

Zaprzeczyła ruchem głowy i słuchała dalej. Mężczyzna z mapą powiedział „duch”. Wysoki wyjął broń.

- To złodzieje orchidei.

A zatem przeczucia Sophie okazały się prawdziwe, pomyślał Gibb. W dodatku ci ludzie byli uzbrojeni. Z drugiej strony może uda się wykorzystać sytuację. Kiedy mężczyźni pójdą do dżungli po orchidee, oni mogą ukraść łódź i popłynąć na Island de Providencia.

Właśnie zamierzał podzielić się z Sophie swoim planem, gdy nagle chwyciła go za łokieć i wciągnęła głębiej w zarośla.

- Co się dzieje?

- Ocalimy orchidee.

Gibb stanął jak wryty.

- Nie chciałbym być nietaktowny, ale czy nie jest rzeczą oczywistą, że powinniśmy odebrać tym typkom łódź i czym prędzej ewakuować się z wyspy?

Popatrzyła na niego, jakby chciał utopić kociaka.

- Nie możemy pozwolić, żeby wyrwali te kwiaty.

- Oczywiście, że możemy. To ich zajmie na dłużej, a my w tym czasie czmychniemy.

- Do ciebie chyba nie dociera, co mówię. Chodzi o jedną z najrzadszych orchidei na świecie.

- Te kwiaty są piękne i bardzo ich szkoda, ale przemytnicy mają broń. Lepiej nie ryzykować.

Sophie nie słuchała, odwróciła się od niego i ruszyła w kierunku, z którego niedawno przyszli. Co miał robić? Oczywiście musiał jej towarzyszyć. Namiętne kobiety mają jedną wadę - bywają niezwykle uparte.

- Zaczekaj! - Najgorsza rzecz, jaka mogła im się teraz przydarzyć, to rozdzielenie.

Odwróciła się i powiedziała:

- Musimy się pospieszyć.

Nie miał pojęcia, co wymyśliła, ale postanowił jej zaufać. Jak do tej pory rzadko się myliła. Po kwadransie dotarli do orchidei.

Sophie wyjęła szwajcarski scyzoryk i zaczęła podcinać pnącza.

- Odbieraj je ode mnie. To ostatnia szansa na ratunek.

Nie rozumiał, co wyprawia. Poruszała się szybko i zwinnie. Obcięte pędy miały po dwa metry długości. Kiedy skończyła, była zaczerwieniona z wysiłku. Pocięła około tuzina pnączy.

- Zrobimy wnyki. Zawiąż pętelkę na końcu każdego pnącza i przewlecz przez nią drugi koniec. - Pokazała mu, jak to zrobić.

- Chcesz powiedzieć, że zabawimy się w traperów polujących na zwierzynę?

- Właśnie. Tylko nie zaciskaj pętli za mocno.

Gibb był sceptycznie nastawiony do zwiariowanego pomysłu Sophie, ale posłusznie wykonywał polecenia. Zawsze mogli wrócić do planu B, czyli ucieczki.

- Jak to wygląda? - Pokazał pierwsze wnyki.

- Bardzo dobrze. Wiąż dalej. Im więcej zrobimy, tym większa szansa na złapanie oprychów.

- Wydaje ci się, że w nie wpadną?

- Moi bracia nieraz zastawiali na mnie takie pułapki. Nie ważyłam wtedy dużo, więc nie wiem, czy teraz nam się uda coś zdziałać. Jeśli nie, orchidee przepadną.

- Osiągają aż tak wysoką cenę na rynku?

- Olbrzymią. Najgorzej, że ci panowie nie wyglądają na doświadczonych ogrodników, a orchidee są delikatne. Wykopią wszystkie w nadziei, że choć jedną czy dwie dowiozą w dobrym stanie.

- Skąd tyle wiesz o kwiatach?

- Moja mama przyjechała do Ameryki z powodu orchidei. Dopóki nie poznała taty, były jej największą pasją.

- Musiała być fascynującą kobietą. A temperament odziedziczyłaś chyba po niej?

- Dzięki.

- Za co?

- Za pomoc w ratowaniu orchidei, chociaż pewnie niezbyt cię obchodzą.

- Sophie, zawsze doceniam piękne i rzadkie rzeczy. W jej oczach dostrzegł wdzięczność. Czy rozumiała, że mówił o niej?

- Trzeba sprawdzić, czy nadchodzą.

Słysząc było różne odgłosy, ale wokół żadnych ludzi. Na razie. Zaczęli zakładać wnyki. Zrobili ich tuzin, ale już przy szóstym usłyszeli męskie głosy.

- Musimy uciekać.

- Ale...

- Sophie, idziemy! Nie ma na co czekać.

Ukryli się w pobliżu, w dobrym miejscu do obserwacji.

Sophie zastanawiała się, czy uda im się zapobiec rabunkowi. Musiała przyznać w duchu, że plan Gibba był o wiele bardziej racjonalny, ale nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby nie spróbowała. Poza tym odpływając, zostawiłaby nie tylko kwiaty, ale i ukochany samolot.

Od sterczenia w kucki rozboleły ją kolana. Czemu złodzieje zwlekają? Dawno powinni tu być. Mają przecież mapę. Jej zdenerwowanie musiało być widoczne, skoro Gibb położył uspokajająco rękę na jej ramieniu.

- Cierpliwości.

Uklękła. W powietrzu unosił się zapach orchidei. Myślała o tym, co Gibb niedawno powiedział. Dla niej też był kimś pięknym i rzadkim. A ona? Pospolita niczym chwast.

Dobrze, że jej pomógł, sama nie dałaby rady zrobić tylu wyników. Gibb Martin chwycił wszystko w lot, miała szczęście, że go poznała.

I nagle zrobiło jej się smutno. Ta piękna przygoda niedługo się skończy, każde z nich wróci do poprzedniego życia. Pozostanie jedynie słodkie wspomnienie gorącego romansu. Ach, nie myśl o tym teraz, upomniała się w duchu. Pilnujesz orchidei, a złodzieje już nadchodzą. Skup się na tym, co robisz.

Słysząc było ciężkie kroki i rozmowę.

- *Qué crees que sucedió a la gente en El avión?*

Gibb ścisnął ją za ramię.

- Zastanawiają się, co się z nami dzieje. Mam nadzieję, że nas nie zauważą.

Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie. Jego wzrok mówił: prędzej umrę, niż pozwolę cię skrzywdzić!

W tym momencie dostrzegli pierwszego mężczyznę. Był uzbrojony. Sophie poczuła, że robi jej się zimno. Za nim pojawili się dwaj pozostali złodzieje z niebieskim pojemnikiem. Zauważyli rosnące orchidee i oniemieli z zachwytem. Widok był naprawdę wspaniały. Jednak przyszli nie tyle podziwiać naturę, co ją niszczyć. Dla pieniędzy.

Ten uzbrojony odłożył strzelbę i zaczął posuwać się w stronę kwiatów. Koledzy mu towarzyszyli. I właśnie wtedy rozległ się krzyk. Jeden z mężczyzn wpadł w pułapkę.

Pętla zacisnęła się na kostce, mężczyzna poszybował w górę. Zaraz potem to samo spotkało drugiego. Trzeci cofnął się szybko po broń. Zrobiło się niebezpiecznie.

Gibb podniósł się błyskawicznie. Z groźną miną zaatakował złodzieja. Popchnął na tyle mocno, że tamten upuścił strzelbę.

Sophie nie zastanawiała się ani chwili. Złapała broń i pewnym głosem rozkazała:

- Nie ruszaj się.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gibb śmiał się przez całą drogę do samolotu, prowadząc przed sobą na muszce trzech złodziei. Ciągłe przypominał mu się moment, gdy Sophie przystawiła broń do piersi jednego z nich. Niezłe z niej ziółko. Mogłaby startować w konkursie na najgroźniejszą kobietę świata. Jego mała Sophie!

W ekwipunku złodziei znaleźli taśmę klejącą i od razu zrobili z niej dobry użytek, wiążąc nią mężczyznom ręce. Panowie mieli bardzo ponure miny. Wiadomo, być pokonanym przez kobietę to najgorsza ujma na honorze. Niesłuchanie zabawny widok.

Gibb ułożył nawet nowe przysłowie: nigdy nie zadzieraj z córką kobiety, która uwielbiała orchidee.

Kiedy dotarli do plaży, kazał mężczyznom wsiąść do łodzi. Nadal trzymał ich na muszce na wypadek, gdyby zamierzali uciec. Sophie tymczasem poszła do samolotu po swój przybornik. Wróciła, żeby zapytać Gibba, czy może wykorzystać jego bransoletkę. Wyjęta ją z kieszeni i zamachała mu przed nosem.

- Pozwolisz mi wziąć dwa ogniwa?

Skinął głową.

- Ale wiesz, że w ten sposób ją zniszczę, a ona ma dla ciebie ogromne znaczenie, ze względu na przyjaźń ze Scottem.

- Miło, że o tym pamiętasz.

- Nie musimy już tego robić. Mamy łódkę.

- Dotarcie łodzią do Island de Providencia zajęłoby nam dużo więcej czasu niż lot, a poza tym wiem, jak ci zależy na El Diablo.

- To prawda - zgodziła się. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście usłyszał w jej głosie nutkę rozczarowania? Może planowała spędzić z nim więcej czasu. - A więc nadal nie chcesz dopuścić do tego małżeństwa?

- Tak... chyba tak.

- Powinieneś się na coś zdecydować. Zastanów się, co jest dla ciebie ważniejsze. Przyjaźń czy kontrola nad przyjacielem?

Gibb poczuł ból w miejscu, gdzie była blizna. Odruchowo dotknął jej dłonią. Czyżby Sophie miała rację? Czy rzeczywiście chodziło o szczęście Scotta, czy też powodował nim egoizm?

- Przyjaźń przegrywa, zniszcz jej symbol własnoręcznie. - Sophie podała mu nożyczki i bransoletkę.

Gibb odłożył broń i ważył w ręku otrzymane od Sophie przedmioty. Przed oczami przesuwiał mu się film z przeszłości. Ukłucie płaszczy, reakcja Scotta, chwila, gdy wybierali platynowe łańcuszki.

Ma przeciąć te więzy?

Napotkał wzrok Sophie. Czekwała cierpliwie na jego decyzję.

- Sądzisz, że dasz radę dzięki temu łańcuszkowi naprawić przewód?

- Tak mi się wydaje.

Trzeba podjąć decyzję i działać. Nigdy nie sprawiało mu to trudności, dlaczego teraz się wahał?

Popatrzył jeszcze raz na łańcuszek, potem na Sophie i odciął dwa ogniwa.

W niespełną godzinę później linka sterownicza była nareperowana. Gibb ubrał się, ale garnitur tym razem nie prezentował się najlepiej.

Mężczyznom w łódce zostawili trochę wody. Postanowili, że jak już będą na Island de Providencia, powiadomią policję o zatrzymanych złodziejach.

Wystartowali gładko, platynowa bransoletka Gibba nie została zniszczona na darmo. Oczywiście była to zasługa Sophie, świetnego pilota i mechanika zarazem.

Podczas krótkiego lotu nie rozmawiali o niczym ważnym: o prysznicu, o którym każde z nich marzyło, i dobrym posiłku. Sophie planowała kupno nowego przewodu,

Gibb podziwiał widoki. Żadne z nich nie nawiązywało do wydarzeń ostatniej nocy. Właściwie już wydawała się odległym wspomnieniem.

Wylądowali na Island de Providencia około pierwszej po południu w piątek. Minęło zaledwie czterdzieści osiem godzin, od kiedy opuścili Bosque de Los Dioses, a zarazem cała wieczność.

Sophie zajęła się szukaniem mechanika, który mógłby dokonać niezbędnych napraw. Gibb zaoferował jej swoją kartę kredytową „na posmarowanie kół”, jak to określił.

Zaprotestowała, ale nie przyjął odmowy.

- Samolot popsuł się z mojego powodu, a wcześniej powiedziałem, że pokryję wszystkie wydatki. Weź kartę.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję.

Weszła do budynku, a Gibb zaczął zastanawiać się nad zorganizowaniem transportu na Florydę. Znalezienie regularnego połączenia lotniczego byłoby drogą przez mękę. Inne środki transportu nie wchodziły w grę. Najlepszym pomysłem wydało mu się wezwanie własnego odrzutowca. W tym momencie miało mniejsze znaczenie, czy wypatrzą go szpiedzy konkurencji. Samolot stał w hangarze w Miami, mógłby tu dotrzeć najwcześniej za pięć godzin. Jeżeli zaraz wezwie pilota, dolecą do Key West przed północą.

Albo...

Sophie właśnie wychodziła uśmiechnięta z budynku, machając kartą kredytową.

Albo wezwie samolot na jutro rano i wtedy mógłby spędzić ostatnią noc z Sophie. Serce zabiło mu szybciej. Schował telefon do kieszeni i ruszył w jej kierunku. Pamiętał tylko, żeby kupić prezerwatywy, upomniał się w duchu.

Sophie przyspieszyła kroku.

- Cześć! - Gibb uśmiechnął się promiennie.

Był w świetnym nastroju i pełen energii.

- Cześć! - odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech.

- Udało ci się znaleźć mechanika?

- Najwyraźniej dzisiaj jest mój szczęśliwy dzień. Wymienią przewód jeszcze dzisiaj po południu. Dzięki za kartę - powiedziała, oddając mu ją.

- Tak sobie pomyślałem, że skoro oboje jesteśmy tu uziemieni, to moglibyśmy zawiadomić policję o złodziejach orchidei, a potem coś zjeść, znaleźć hotel, wziąć prysznic i...

- I kochać się?

- Właśnie.

Niespodziewanie Sophie pocałowała go w usta.

- Już myślałam, że nigdy tego nie zaproponujesz.

O siódmej wieczorem siedzieli na patio nadmorskiego bungalowu i popijali drinki. Sophie była ubrana w czerwoną sukienkę na cienkich ramiączkach, którą Gibb dzisiaj kupił w drogim butik, a on w szorty khaki i niebieski T-shirt. Przypatrywali się zachodowi słońca i zjadali świeżo przyrządzone langusty.

- Lubię, kiedy jesteś taki zrelaksowany, rozluźniony i nigdzie się nie spieszysz.

- Muszę przyznać, że ja też siebie takim lubię. Żadnych napiętych terminów, ty u mojego boku. Cudownie.

Oboje westchnęli. Jaka szkoda, że to nie mogło trwać wiecznie.

- Mniem... - Sophie kończyła jeść langustę i oblizywała palce. - To bije na głowę pieczone kielbaski.

- A mnie się podobał nasz piknik. - Gibb dotknął stopą łydki Sophie.

- Wiesz, o czym myślę?

- O czym?

- O opakowaniu kondomów, które kupiłeś.

Gibb uśmiechnął się szeroko.

- Powiedz tylko słowo, kochanie, a jestem do twojej dyspozycji.

- Słowo. - Sophie wstała i wyciągnęła rękę.

Weszli do środka i od razu wylądowali w łóżku.

Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Niemal jak para, która od wielu lat dzieli noce i dni.

Gibb rozebrał ją powoli, równie niespieszne były jego pocałunki. Po bardzo długiej chwili ujął podbródek Sophie i zapytał:

- Czy powinniśmy o tym porozmawiać?

- A możemy dodać coś do tego, co zostało już powiedziane?

- Pomyślałem, że po tym, co się między nami wydarzyło, moglibyśmy spróbować...

- Gibb, nie szukajmy słów, by nazwać to, co się między nami dzieje. Dobrze jest, jak jest. Po prostu cieszymy się chwilą.

- Na pewno?

- Spędzimy ten wieczór razem, tylko to się liczy. Wystarczy. Jutro polecisz na wschód, a ja na zachód. Nasze ścieżki rozejdą się.

- Zobaczymy się, gdy wrócę do Bosque de Los Dioses.

- Nie powinniśmy tego dalej ciągnąć. To, co się wydarzyło pięknej nocy na wyspie, będzie inaczej wyglądało w świetle dnia. Nasza namiętność nie wytrzyma zderzenia z codziennością. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. - Poglaskała go po piersi. - Ale nie ma nic złego w tym, że chwile, które podarował nam los, próbujemy przeżyć jak najpełniej.

Oczy Gibba zabłyśły w półmroku.

- Czy tego właśnie chcesz? Naprawdę?

- Tak.

Wolała, by nie mówił nic, co dałoby jej nadzieję. Przecież to oczywiste, że nie mogą być parą. Gibba czeka powrót do pełnego pośpiechu życia, w którym czas spędzony z nią można by określić jako cudowny przerywnik. Nie miała o to pretensji. Tak to już jest.

Spojrzeli na siebie, nie ukrywając pożądania. Wszystko nabrało tempa, tym razem żadne z nich nie było zainteresowane grą wstępną. Ogarnęło ich miłosne szaleństwo.

Usta Gibba zaborczo szukały jej ust, palce zataczały kółka wokół pępka. Zamknęła oczy i delectowała się wszystkim, co z nią robił.

Lizał najpierw jej piersi, potem tylko jeden sutek, a drugi pocierał palcami. Otworzyła oczy i uniosła głowę. Pragnęła widzieć, co z nią robił.

- Gibb, chcę cię poczuć w sobie. Teraz. Zaraz. Pragnę cię.

Szybko sięgnął po prezerwatywę, wyszarpnął jedną niecierpliwie, resztę rozrzucił po pokoju.

- Daj, ja to zrobię - szepnęła.

Pochylił się nad nią, obsypywał jej ciało pocałunkami, był wszędzie, aż wreszcie dotarł tam, gdzie na niego czekała.

- Sophie - wyszeptał. Zabrzmiało jak szum morskich fal. Pieściło jej uszy.

Nikłe światło latarenek z patio padało na dwa złączone ciała. Pocałunki Gibba stawały się coraz intensywniejsze. Poruszał się coraz szybciej.

- Jeszcze - prosiła. - Jeszcze.

Unosiła biodra, dociskała dłońmi jego pośladki. Ich zespolenie było idealne. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończy się ciało Gibba, a zaczyna jej. Emocjonalnie i fizycznie stanowili jedność. Wspólnie, w tej samej chwili przeżyli orgazm. Potem Gibb osunął się na nią bezwładnie.

Sophie odzyskała świadomość chwilę później i zdała sobie sprawę, że nadal leży w ramionach Gibba, który delikatnie gładzi jej włosy. Czuła się, jakby po długiej wędrówce trafiła do domu.

Nie. Nie powinna tak myśleć, to zbyt niebezpieczne. Po namiętym seksie przyszedł czas na czułości. Palce Gibba błędziły po jej plecach, prześlizgiwały się delikatnie wzdłuż kręgosłupa. Wymieniali od czasu do czasu leciutkie pocałunki. Było im tak dobrze.

W pewnym momencie Gibb przekręcił Sophie na bok, tyłem do siebie, jego pieszczoty stawały się coraz bardziej gorące. Dotykał jej piersi, wnikał głęboko między uda, wreszcie wszedł w nią od tyłu.

- Moja Sophie, moja śliczna Sophie - szeptał.

Pojękiwała cichutko. Rozkosz narastała w niej jak olbrzymia fala. Gibb obsypywał jej szyję pocałunkami, gorącymi i bardzo czułymi, ale nie przestawał się w niej rytmicznie poruszać.

Obrócił się na plecy, nie wypuszczając jej z ramion. Potem usadził ją na swych biodrach. Nie przestali się kochać, ale mogli teraz patrzeć sobie w oczy. Odbywała niezwykłą przejażdżkę, zatracala się, drżała coraz bardziej, aż osiągnęła szczyt przyjemności.

Gibb miał orgazm tuż po niej. Czuli się, jakby dotarli do samego nieba. Leżeli przytuleni, szczęśliwi.

- Nigdy nie czułam się tak niezwykle - wyszeptała.
- To ty jesteś niezwykle, jedna na miliard - powiedział z przekonaniem, patrząc jej czule w oczy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sophie postanowiła wyslizgnąć się ukradkiem z pokoju hotelowego, niczym złodziej orchidei. Bez pożegnania. Chwyciła ubrania i sięgnęła do klamki, sądząc, że Gibb jeszcze smacznie śpi, ale była w błędzie.

- Uciekasz?

Na wpół obudzony, ze zmierzwionymi włosami, wsparty na łokciu, wyglądał tak seksownie, że Sophie z trudem powstrzymała się przed wskoczeniem z powrotem do łóżka.

- Chciałam, ale najwyraźniej mi się nie udało.

- Chodź tutaj. - Usiadł i poklepał materac.

Nie powinna była wracać, ale posłuchała go. Zasłoniła się sukienką.

- No co tam?

- Chciałem ci powiedzieć, że ostatnie dwa dni były najlepsze w całym moim życiu.

- Rozbiliśmy się na wyspie, chodziliśmy po dżungli, małpy rzucały w nas owocami, w dodatku schwytaliśmy złodziei. Tyle wrażeń. - Uśmiechnęła się smutno.

- Tak, w twoim towarzystwie nie grozi mi nuda.

- Na co dzień nie byłoby tak kolorowo. Wszystko, co nam się przytrafiło, było nowe i dziwne. Wspaniała przygoda.

Gibb ucałował jej dłoń.

- Świetnie się dogadywaliśmy, prawda?

- Tak, ale teraz bajka się kończy. Pochodzimy z różnych światów.

- Jeśli będziemy cierpliwi, może uda nam się przełamać bariery kulturowe?

- Nie to miałam na myśli. Jestem wystarczająco amerykańska, by się z tobą dogadać.

- To w czym problem?

- W pieniądzach i ambicjach. Jesteś bogaty, ja nie. Ty chcesz zdobywać, sięgać gwiazd, a ja jestem zadowolona z mojego życia. Lubię latać między Liberą a Bosque de Los Dioses. Chociaż - uśmiechnęła się przekornie - mogę stracić i to, jeżeli twój pomysł biznesowy wypali.

- Wspominałem, że możesz pracować ze mną.

Wstała i ubrała się. Gdyby pozwoliła mu jeszcze przez jakiś czas na pieszczoty, zgodziłaby się na wszystko, na każdą propozycję.

- Nie jestem Kopciuszkiem, który czeka na swojego księcia. Ani blondynką. Potrzebuję partnera, a nie faceta, który będzie mnie kontrolował i organizował mi życie.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- Sam w to nie wierzysz. Masz nad ludźmi władzę, dzięki pieniądзом. Dlatego są dla ciebie takie ważne. Wtrącasz się do życia najlepszemu przyjacielowi, bo nie możesz zrozumieć, że przedkłada miłość nad olbrzymi zysk. Pieniądze to nie wszystko, Gibb,

- Ale Scott jej nie kocha - bronił się.

- Skąd ta pewność?

- Zna ją tylko miesiąc.

- To dużo dłużej niż trwa nasza znajomość - powiedziała spokojnie i wyszła.

Podczas lotu na Florydę Gibb cały czas myślał o Sophie.

To, co powiedziała o nim rano, było prawdą. Lubił kontrolować ludzi i odczuwał potrzebę zarabiania pieniędzy, chociaż już miał na koncie więcej, niż byłby w stanie wydać.

Prawdą jest również to, że się nie znają, a mimo to czuje do niej coś więcej niż pożądanie. Zależało mu na niej jak na nikim przedtem. Czyżby przydarzyło mu się to samo co Scottowi? Zaskakująca myśl.

Jedno było pewne. Niezależnie od tego, co dalej będzie między nim a Sophie, musi rozstać się ze Stacy. Zadzwoił do niej, żeby ją oswoić z tą myślą, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Dał sobie spokój. Porozmawia z nią później.

Pilot wylądował najpierw w Miami, gdzie Gibb zrzucił szorty i T-shirt, które kupił wczoraj, i włożył garnitur. Potem poleciał prosto do Key West. Dotarł na miejsce po drugiej. Wynajął samochód z kierowcą i pojechał do portu.

Ludzie z firmy organizującej wesele zwiłali się jak w ukropie.

Gibb zatrzymał kobietę, która wyglądała na kierowniczkę, i zapytał, gdzie może znaleźć pana młodego. Wskazała miejsce za jego plecami. Odwrócił się i dostrzegł przyjaciela w bluzie straży przybrzeżnej. Scott zmarszczył brwi na widok Gibba, nie pomógł nawet uśmiech, jaki przyjaciel posłał mu na powitanie.

- Jeżeli przyjechałeś, żeby popsuć mi humor, możesz od razu wracać. Kocham Jackie całym sercem i duszą. Owszem, jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale nie pozwolę, byś powiedział choć jedno złe słowo na jej temat. - Scott popchnął Gibba w kierunku samochodu.

- Nie zamierzam was rozdzielać ani psuć uroczystości - uspokoił go Gibb.

- Nie? - Scott wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- No dobrze. Przyznaję, kiedy leciałem tu z Bosque de Los Dioses, miałem taki plan, ale po drodze, gdzieś na Karaibach, a dokładniej na niewielkiej bezludnej wysepce, rozmyśliłem się.

Scott stał i przypatrywał mu się z podejrzliwie.

- A co takiego się stało na tej wyspie?

- Poznałem kogoś i chyba zaczynam cię rozumieć.

- Na bezludnej wyspie?

- Dziewczyna, o której mówię, jest pilotką samolotu, a na wyspie musieliśmy awaryjnie lądować.

- Tak? A jaka ona jest? Opowiadaj.

- Nie teraz, nie chcę.

- Aha, łapię, zakochałeś się, ale ona nie ma o tym zielonego pojęcia.

- Ja... - Nie był w stanie wypowiedzieć słowa „kocham”. - To trochę skomplikowane.

- Jeśli rzeczywiście jest skomplikowane, to na pewno z twojej winy.

- Ja jej w zasadzie nie znam. - I jednocześnie czuł, że zna ją tak dobrze jak nikogo na świecie. Zna jej uśmiech, wie, jak wygląda jej twarz tuż po przebudzeniu, i że nie lubi łaskotek pod kolanem. Wie również, że jest odważniejsza od wielu mężczyzn. A z jaką

pasją opowiada o lataniu, orchideach, seksie... A jeśli coś robi, angażuje się bez reszty, zawsze na sto procent.

- Czy ta niezwykła kobieta ma jakieś imię?

- Sophie. Nazywa się Sophie Cruz.

- Kostarykanka?

- W połowie. Jej mama była Amerykanką. Ale charakter ma prawdziwie kostarykański. I mnóstwo luzu, łatwo się z nią dogadać.

- No tak. Czyli ma wszystko to, czego tobie brakuje.

No właśnie, o to chodzi. Nauczyła go wielu rzeczy w bardzo krótkim czasie. Na przykład że warto się zatrzymać, by powąchać różę, a pieniądze to nie wszystko i nie wszystko można za nie kupić. Inni też próbowali mu to już wcześniej uświadomić, ale z kiepskim skutkiem. Dzięki niej odkrył życie na nowo.

- Wspomniałeś, że jest pilotką.

- Tak. I to doskonałą.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nic.

- Nie do wiary. - Zdumiony Scott gwałtownie zamrugał.

- Czemu?

- Masz miłość na wyciągnięcie ręki i pozwolisz jej odejść? Jesteś trudniejszym przypadkiem, niż przypuszczałem. - Scott popatrzył smutno na przyjaciela.

Gibb zastanawiał się, dlaczego tak trudno jest mu się przyznać, że się zakochał.

- Jak już mówiłem, prawie jej nie znam.

- Tak? - Scott uniósł brwi. - To pozwól, że przełożę to na zrozumiały dla ciebie język. Czym zajmowałeś się, zanim wynalazłeś swoją grę?

- Szacowałem zyski i straty.

- To porozmawiajmy o twoim życiu uczuciowym jak o pieniądzach.

- Nie bardzo mi się to podoba. - Gibb poczuł się na tyle nieswojo, że musiał poluzować krawat.

- Czy masz wrażenie, że się zmieniłeś? Pytam zupełnie serio, dlatego zastanów się, zanim odpowiesz.

- Próbuję się zmienić. Pracuję nad tym.

- No dobrze, to powiedz, co ci się najbardziej podoba w Sophie?

Gibb uśmiechnął się.

- Na przykład to, że zachowuje zimną krew w niebezpiecznych sytuacjach. Lubię, kiedy się uśmiecha, a robi to często. Czuję się wtedy, jakby po długim deszczu wyszło słońce. Podobają mi się jej różowy kowbojski kapelusz i długie, czarne, lśniące włosy. I że kiedy mówię bzdury, ona to natychmiast wyśmiewa. Dzięki niej wracam do dzieciństwa. Pamiętasz, jaki byłem, zanim mama wyszła za Jamesa? Potem cały czas starałem się mu udowodnić, że zasługuję na jego miłość i szacunek. I zmieniałem się. Sophie obudziła wspomnienia, zrozumiałem, że kiedyś byłem inny.

- To naprawdę interesująca dziewczyna. W takim razie porozmawiajmy o minuscach ewentualnego związku.

- Sophie twardo stąpa po ziemi, a ja rozbijam się bentleyem. Ona mieszka na karaibskim odludziu, ja mam domy w Miami, Santa Barbara i Aspen.

- Nie zawsze je miałeś.

- Wiem.

- No właśnie, zbliżamy się do podstawowego pytania. Czego się boisz?

- Szczerze?

- Szczerze zawsze popłaca.

- Boję się, że nie potrafię już żyć zwyczajnie. Straciłem kontakt z ludźmi, których nazywa się pospolitymi zjadaczami chleba.

- Kiedy ostatni raz zrobiłeś coś, co dałoby się określić słowem „zwyczajny”?

- Na wyspie. Nazbierałem gałęzi, rozpałem ognisko, a potem upiekliśmy z Sophie kielbaski i stopiliśmy cukierki ślazowe.

- Czyli ona ma na ciebie zbawienny wpływ.

- Tak mi się wydaje.

- To co ty tutaj jeszcze robisz, Gibb?

- Chciałbym, żebyś pozwolił mi być świadkiem na twoim ślubie, chyba że już poprosiłeś o to kogoś innego. Hm, ale ze mnie głupek. Po tych bzdurach, które wygadawałem podczas naszej ostatniej rozmowy, na pewno już masz świadka.

- Owszem. Właśnie na niego patrzę.

Gibb poczuł się niesłychanie wdzięczny, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar.

- Tak, poprosiłem o świadkowanie najlepszego przyjaciela ojca, na wszelki wypadek, gdybyś się nie pojawił. Od razu zastrzegł, że będzie tylko świadkiem awaryjnym, i z chęcią ustąpi ci miejsca, a sam zajmie się witaniem gości.

- Naprawdę? - Gibb czuł się uszczęśliwiony. Do oczu napływały mu łzy wzruszenia. Scott był prawdziwym przyjacielem. Lepszym, niż można sobie wymarzyć.

- Miałem nadzieję, że jednak zmienisz zdanie co do mojego ślubu z Jackie i pożyczysz nam szczęścia.

- Dzięki, chłopie.

Scott dotknął bransoletki, którą miał na przegubie.

- Pamiętasz, co sobie obiecaliśmy w dniu, w którym je kupiliśmy?

Palce Gibba powędrowały do pustego nadgarstka.

- Braterstwo krwi na zawsze.

- Hej, a co się stało z twoim łańcuszkiem?

- Długa historia, opowiem ci na przyjęciu.

- Nie przejmuj się. To tylko symbol, liczą się czyny. Cieszę się, że jesteś.

- Ja też.

- Chodź, przedstawię cię Jackie. Ale po weselu będę miał do ciebie gorącą prośbę.

- Zrobię, co tylko zechcesz.

- Chciałbym, żebyś wpakował swój elegancki tyłek do firmowego odrzutowca, pomknął do Kostaryki i powiedział Sophie, że ją kochasz.

- A co jeśli... - Gibbowi słowa uwięzły w gardle, ale w końcu wydusił: - A jeśli ona nie odwzajemnia moich uczuć?

- Wiele razy podejmowałeś ryzyko, masz wprawę. Zresztą intuicja mi podpowiada, że tym razem nic ci nie grozi. Długa lista ewentualnych korzyści i zero po stronie strat.

- Jeżeli mnie odtrąci, nie wiem, czy się pozbieram.

- A pozbierasz się, jeśli zrezygnujesz z uczuć, zanim ją zapytasz?

Sześć godzin później, gdy państwo młodzi odpłynęli w podróż poślubną, Gibb kazał się zawieźć do hangaru, gdzie czekał na niego odrzutowiec.

Ledwie parę minut czekali na pozwolenie na start, a on już zaczął się denerwować. Amigo, uspokój się, przecież się nie pali, usłyszał w duchu wesoły głos Sophie. Przestał chodzić tam i z powrotem. Usiadł w poczekalni i zaczął oglądać wiadomości.

- *Przedstawiciele giganta w dziedzinie transportu, Fisby Corp., zdradzili, że opracowali innowacyjną technologię w zakresie transportu, która zasadniczo zmieni sposób podróżowania.*

Nastąpił opis działania nowego środka transportu, niezwykle podobnego do tego, w który zainwestował Gibb. Resztę informacji zapowiedziano po przerwie na reklamę.

Co? Znowu? Tylko nie to!

Tyle starań, zabiegów, żeby się ukryć przed szpiegami. Jakim cudem się dowiedzieli? Co tu się, do diabła, dzieje?

Odpowiedź nadeszła po chwili. Stacja telewizyjna pokazała na moment dyrektora generalnego Fisby Corp.

Wsiadał do limuzyny z uwieszoną na jego ramieniu atrakcyjną blondynką. Gibb od razu ją rozpoznał. Stacy.

A więc to ona była szpiegiem korporacji. Nawiązując do tytułu pewnego filmu, sypiał z wrogiem.

Dziwne, nie czuł ani oburzenia, ani gniewu. Zaczął analizować jej zachowanie i coraz bardziej chciało mu się śmiać. Wreszcie nie mógł się powstrzymać, odchylił głowę i wybuchnął głośnym, oczyszczającym śmiechem. Niektórzy ludzie zaczęli na niego dziwnie spoglądać, ale nie mógł przestać. Dwa lata ciężkiej pracy i kilkaset milionów dolarów w plecy, a jego to wcale nie martwi.

- Dzięki, Stacy. Uwolniłaś mnie z klatki, w której dobrowolnie się zamknąłem.

Wolny. Po raz pierwszy, od kiedy wynalazł *Zimdiggy*, poczuł się wolny.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Czemu wyglądasz jak zbity pies? - spytał Sophie zatroskany ojciec, widząc, że córka niewidzącym wzrokiem wpatruje się w pejzaż za oknem.

Dotknęła twarzy ojca i wyczuła gdzieś zarost. No tak, znowu niedokładnie się ogolił. Od kiedy zaczął tracić wzrok, miał z tym kłopot, ale odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek pomocy.

- Skąd wiesz, papciu, jaką mam minę?

- A czy potrzebuję oczu, żeby wiedzieć, że moje najmłodsze dziecko jest smutne? Aż taki ślepy nie jestem. Przestałaś śpiewać, nie słyszę radosnych nutek w twoim głosie. Tak jest od czasu powrotu po nieudanym locie do Key West. Co się dzieje?

Jak mogła wytłumaczyć ojcu, że od kiedy zostawiła Gibba w bungalowie na Island de Providencia, czuje się jak dziecko we mgle, i to dużo gęstszej niż ta, która od czasu do czasu zalega nad Bosque de Los Dioses?

Właśnie doświadczała na własnej skórze ciemnej strony wielkiej namiętności. Bez ukochanego życie traci smak.

Próbowała zapomnieć, co wydarzyło się na wyspie, i szukała ukojenia w związku z Emiliem, ale kompletnie jej to nie wychodziło. Po tym, jak doświadczyła prawdziwej namiętności, związek oparty wyłącznie na przyjaźni nie spełniał jej oczekiwań, nie uszczęśliwiał jej. I nie miało tu znaczenia, czy jej i Gibbowi pisana była wspólna przyszłość.

Zdobyła się na odwagę, żeby porozmawiać poważnie z Emiliem. Okazało się, że on czuje to samo.

- Jeszcze pogodzisz się z Emiliem - próbował ją pocieszyć tata. - Nie jest za późno.

- Tatusiu, ja go nie kocham.

- Aaa... rozumiem, kochasz kogoś innego.

- Tak... - wyszeptała. - Ale on mnie nie.

- W takim razie to bardzo głupi człowiek.

- On się boi zakochać.

- No przecież powiedziałem, że to bardzo, bardzo głupi człowiek. Bo czego tu się bać?

Sophie podciągnęła kolana pod brodę.

- To tak bardzo boli.

- Wiem, córeczko. - Uścisnął mocno jej rękę i poczłapał do pokoju, zostawiając Sophie sam na sam z myślami.

Skuliła się jeszcze bardziej. Była głupia, łudząc się, że pomimo wszystko ona i Gibb mogliby być razem, *Loca*, szalona. A jednak dalej nie mogła przestać o nim myśleć. Żal narastał, wżerał się w duszę. Zamknęła oczy, niestety nie pomogło.

Wczoraj wieczorem wpadła do niej Josie z dużym pudełkiem chusteczek. Sophie wygadała się i wypłakała w ramionach siostry. Trochę pomogło, ale nie na długo. Potem obejrzała jeszcze *Mieć czy nie mieć*, jeden z ulubionych filmów mamy.

Jak szybko goi się złamane serce? Czy to w ogóle możliwe? Zadawała sobie w kółko to pytanie i sięgała po kolejną chusteczkę. Miała właśnie zjeść lody albo wypić piwo, gdy zadzwonił telefon.

Gibb! - pomyślała w pierwszej chwili. O naiwności, to była ciocia Kristi z Ventury.

- Słucham - wybąkała.

- Sophie, kochanie, Josie właśnie mi opowiedziała, co się stało.

- Och, ciociu.

- Dziecinko, musisz przestać o nim myśleć. Chcę cię mocno przytulić, przyjedź do nas, na jak długo zechcesz. Wyjdziemy po ciebie na lotnisko.

Raz na parę lat widywała się z rodziną matki, zaproszenie od ciotki nie mogło przyjść w bardziej odpowiedniej chwili. Gibb niedługo wróci, żeby dokończyć swój projekt, a ona nie zniesie teraz jego obecności. Jeśli wyjedzie, łatwiej będzie jej spojrzeć na sprawy z dystansu. Powinna też rozejrzeć się za nową pracą. Kiedy ten ekologiczny pojazd zacznie wozić turystów, powinna już mieć inne zajęcie.

Po telefonie od cioci uświadomiła sobie coś ważnego. W pewnym sensie była bogatsza od Gibba. Miała kochającą rodzinę, na którą mogła w trudnych chwilach liczyć. On był przeraźliwie samotny, zdany tylko na siebie.

- To co, przyjedziesz?

- Tak, ciociu. Dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Zaraz ruszam.

Gibb wkrótce po lądowaniu na lotnisku w Liberze uświadomił sobie, że nie wie, gdzie Sophie mieszka. Miał co prawda jej numer telefonu, ale musiał porozmawiać z nią osobiście. Przecież takich spraw nie załatwia się przez telefon.

Była środa rano; minęły cztery dni, od kiedy widział Sophie po raz ostatni. Kiedy dowiedział się, że Fisby Corp. podkradło mu pomysł, musiał szybko zareagować i uporządkować sprawy biznesowe. Podjął kilka niezbędnych decyzji i tak szybko, jak tylko mógł, wrócił w Kordyliery. Na miejscu okazało się, że Sophie gdzieś poleciała.

Nie wiedział, jak sprawdzić, gdzie się podziała. Centrala lotów w Liberze była zamknięta. Przez chwilę myślał, że może coś się stało i nie mogła wrócić z Island de Providencia. Powinien do niej zadzwonić i upewnić się, czy wszystko w porządku. Tylko że wtedy nie zrobiłby jej niespodzianki, a na tym bardzo mu zależało.

Uspokój się, zaczekaj, aż otworzą centralę, mówił sobie.

Nie pomagało, nie chciał czekać, przemierzał chodnik tam i z powrotem.

Może jednak powinien do niej zadzwonić? A jeśli odrzuci połączenie albo odbierze tylko po to, by oświadczyć, że nie chce go więcej widzieć?

W tym momencie podjechał stary biały ford pikap. Wsiadł z niego mężczyzna i najwyraźniej zmierzał do budynku centrali.

- *Hola!* - pozdrowił go Gibb. - Nie wie pan, gdzie jest Sophie Cruz?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tu jej nie ma.

Tyle to i Gibb wiedział.

- A gdzie ją mogę znaleźć?

- Szuka pan pilota? Chce się pan dostać do Bosque de Los Dioses? Niech pan zaczeka pół godziny, polecę z panem.

- Nie, dziękuję. Zależy mi na tym, żeby zobaczyć się z Sophie Cruz. To bardzo ważne.

- Przykro mi. Wyjechała do Kalifornii.

Sophie szła plażą w Venturze i patrzyła na zachód słońca. Nad nią pokrzykiwały mewy. Czowała się tutaj o wiele lepiej niż w domu. Mogła wyjść w każdej chwili, nie obawiając się, że za najbliższym rogiem natknie się na Gibba.

Jednak gdy dostrzegła w oddali muskularnego blondyna, serce jej zadrżało przez moment ze strachu.

Nie bądź głupia, powiedziała sobie, to nie on. Gibb jest w Bosque de Los Dioses. Zaraz sobie przypomniała, że Gibb ma dom w Santa Barbara, niedaleko Ventury.

Uśmiechnięty chłopiec biegł wzdłuż plaży za latawcem. Zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć. Dzieci tak łatwo uszczęśliwić, pomyślała.

- Ostatni raz puszczałem latawce, jak byłem w jego wieku. - Usłyszała za sobą znajomy głos.

Odwróciła się i zobaczyła Gibba. A jednak ten blondyn, na którego zwróciła uwagę, to był on.

- Witaj, Sophie - powiedział miękko.

- Co... co ty tu robisz?

- Szukam cię.

- Mnie? - Słowo ledwie przeszło jej przez gardło.

Gibb podszedł bliżej.

- Tak.

- Dlaczego mnie szukasz?

- Byłem w Bosque de Los Dioses, pytałem o ciebie, powiedzieli, że wyjechałaś do Kalifornii.

- Jeśli twój projekt odniesie sukces, czego ci życzę, to stracę pracę. Pomyślałam, że tutaj łatwiej znajdę inną. Rozpocznę nowe życie, no wiesz...

- A więc nie uciekłaś z Kostaryki przede mną?

Sophie odwróciła głowę, żeby nie widział jej oczu.

- Mniej boli, jeśli... cię nie ma w pobliżu.

- Przyjechałem, żeby ci coś powiedzieć. - Wziął ją jedną ręką pod łokieć, drugą chwycił delikatnie za podbródek.

Skierował jej twarz w swoją stronę.

- A co takiego? - Nadzieja, jaka pojawiła się w jej sercu, przeraziła ją.
- Miałaś rację.
- W jakiej sprawie? - Emocje rozszalały się w niej na dobre.
- Co do wszystkiego. Pieniędzy, mojej potrzeby kontroli nad innymi ludźmi.
- Co się stało, że nagle to zrozumiałaś?
- Sporo się wydarzyło. Fisby Corp. zdobyło moje plany, straciłem ten projekt...
- Ojej, bardzo mi przykro. A skąd mieli plany?
- Sypiałem z wrogiem.
- Nie bardzo rozumiem.
- Stacy. To ona była szpiegiem, którego się tak obawiałem.
- Zdradziła cię!
- I nieźle sobie przy okazji pożyła na mój koszt.
- Dobrze, że Stacy tu nie ma. Już ja bym jej powiedziała, co o tym myślę.
- Wierzę. Widziałem cię w akcji, trzeba się mieć przed tobą na baczności.
- Tak, jeśli ukochana osoba znajdzie się w niebezpieczeństwie, staję się nieobliczalna.

Gibb uśmiechnął się na te słowa.

- A co jeszcze się wydarzyło, że zacząłeś postrzegać świat inaczej? - zapytała, żeby zmienić temat.

- Straciłem cię. Kocham cię, Sophie. Złamałaś mi serce, kiedy odeszłaś.
- Ty moje też - szepnęła.
- Strasznie za tobą tęskniłem.
- I ja za tobą.

Gibb przytulił ją i pocałował. Czowała jego palce w swoich włosach. Wiał wiatr, słońce niemal skryło się za horyzontem. Dzieciak zwijał latawiec i zbierał się do domu.

- Dotarłeś do Key West na czas?
- Tak.
- Zatem wszystko poszło po twojej myśli.
- Nie przeszkodziłem Scottowi i Jackie w zawarciu małżeństwa, jeśli to miałaś na myśli.

- Nie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Zrozumiałem, że jest z nią szczęśliwy. A zaraz potem do mnie dotarło, jak bardzo ja mógłbym być szczęśliwy z tobą.

- Przecież prawie się nie znamy.

- I tu się mylisz. Całkiem sporo o tobie wiem. Masz znamię na biodrze, od urodzenia, potrafisz naprawić zerwany przewód, obronić mnie przed małpami. To mało? Chcę się budzić codziennie u twojego boku.

- Miło to słyszeć. - Skubała kołnierzyk koszuli Gibba.

- Nie mogłem przyjechać od razu, musiałem podjąć kilka ważnych decyzji w firmie.

- Co będziesz teraz robił? - Pocałowała go w szyję.

- Pomyślałem, że pójdę za twoją radą. Przestane myśleć o zarabianiu pieniędzy, których mam dosyć, a zacznę robić to, co sprawia mi przyjemność.

- Hmm... brzmi zachęcająco.

- I pierwszą rzeczą, jaką chciałbym zrobić, to kochać się z tobą.

- Coraz milej się tego słucha.

Gibb uniósł ją, ale tylko po to, żeby delikatnie położyć na piasku. Zarzuciła mu ręce na szyję. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Serce wypełniała jej radość.

- Mam pomysł na nową grę.

- Wracasz do korzeni?

- Do pierwszej zawodowej miłości - powiedział, spoglądając jej głęboko w oczy.

- A co to będzie tym razem?

- Nazwę ją *Sophie i orchidee*. Pewna zachwycająca dziewczyna, która jest pilotką, będzie musiała pokonać mnóstwo trudności.

- Zostanę superbohaterką. A czy Sophie będzie sama pokonywać trudności?

- Nie, będzie miała przystojnego pomocnika.

- A mógłby mieć na imię Gibb? Byłby sprytnym, czarującym milionerem, zaplątanym w jakąś aferę międzynarodową.

- Naprawdę chcesz kogoś takiego dla Sophie?
- Tak, kochanie, będzie dla niej idealny.

EPILOG

Gibb Martin, były inwestor, wrócił do korzeni i wymyślił nową grę mobilną „Sophie i orchidee”, co przesunęło go z miejsca 1153 naszej listy, jakie zajmował trzy lata temu, na pozycję 153.

„Sukces zawdzięczam wyłącznie mojej pięknej żonie Sophie, dzięki niej stałem się lepszym człowiekiem” - mówi Martin.

Wydaje się, że jest zbyt skromny. Gra otrzymała najwyższe noty od użytkowników. Ale nie da się zaprzeczyć, że jego kostarykańska żona miała ogromny wpływ na zmianę stylu życia Martina, po tym jak Fisby Corp. trzykrotnie w ciągu dwóch lat przechytryło go w interesach. Ostatnio firma odebrała mu wynalazek, który miał zrewolucjonizować międzynarodowy transport.

Niestety wynalazek miał poważną wadę konstrukcyjną i cały projekt wylądował w koszu na śmieci. Może będzie to lekcja dla firmy, która zamiast inwestować we własne pomysły, podkrada je innym. Wielu zastanawiało się, dlaczego Gibb Martin nie wstąpił na drogę sądową przeciwko Fisby.

„Gibb jest teraz innym człowiekiem - jak mówi jego przybrany ojciec James Martin, potentat w branży nieruchomości. - Zakochał się, przewartościował plany życiowe. Jestem z niego bardzo dumny”.

Jeśli lawinowo wzrastająca sprzedaż gry może być jakąś wskazówką, to najwyraźniej należy kroczyć ścieżką miłości.

Wealth Marker Magazine

- Powinni powtarzać tę myśl setki razy - powiedział Gibb po przeczytaniu notatki w gazecie, sadowiąc się na miękkiej sofie obok żony, w ich kostarykańskim bungalowie.
- Którą? O lawinowym wzroście sprzedaży *Sophie i orchidei*?
- Nie. Tę, która mówi, że należy kierować się uczuciami.

- Popieram.

- Kto by pomyślał, że decyzja o wynajęciu samolotu może tak odmienić życie. A przecież chciałem tylko przeszkodzić przyjacielowi w poślubieniu ukochanej kobiety. - Położył głowę na brzuchu Sophie.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po dłoni.

- Dzięki tamtej decyzji zostanę dumnym ojcem syna - powiedział.

- A ja, zyskałam męża, który spędza w domu cały dzień, wykonując pracę, którą lubi - dodała.

- A ja dzielną żonę, która lata wśród obłoków, potrafi obronić swoich bliskich i wszystko, co jest jej drogie - uzupełnił Gibb.

- Jesteśmy dwojgiem najszczęśliwszych ludzi na świecie.

- Niedługo będzie nas więcej.

- Tak. I pomyśleć, że zawdzięczamy to wszystko awaryjnemu lądowaniu. - Roześmiała się.

Gibb ucałował ją namiętnie, a Sophie pomyślała, że naprawdę jest szczęściarą. Odnalazła wyśnioną miłość i zarazem partnera, na którego zawsze może liczyć. Do końca życia.

